Nr. 37. Poznań, dnia 11. września 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38

Telefon Nr. 97

Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Treść: Materyalna wartość oświaty. — O wolny wybór lekarzy. — Z życia kolonii polskiej w Ameryce. — Wiadomości. — Nekrolo ia. — Nowe książki i treść pism. — Od Redakcyi. — Wykłady popularne. B. XIII. — Z żałobnej karty: Ś. p. Dr. Witold Skarzyński. — Dysseldorfska wystawa budowy miast. — Święto koleżeństwa. — Wędrówka nad zatoką Biskajską. — Dziewczę pokochało. (Wiersz). — Przędza Matki Boskiej. — Nowości beletrystyczne. — Z ojczystych stron: Zabytki Kowna. — Dział kobiecy: a) Przykazania dla panień gotowych do zamążpójścia b) Nowa forma zawierania małżeństw. c) Karykatura w modzie. d) Kocham cię. — Ból zasnął. (Wiersz). — Pogadanka naukowa: Historya ognia. — Nowa zdobycz medycyny. — Z dziedziny hygieny: Krew w człowieku. — Czarnogórska „Marsylianka“ (Wiersz). — Otchłań. (Nowela.) — Kminkowa z rumem. (Humoreska.) — Kalendarzyk historyczny. — Humor i satyra. — Nasz kącik. — Zagadka. — Reklamy. — Ogłoszenia.

Powieści: Werbunek. — Czarna perła. (Dokończenie.)

Illustracye: albumowa: Zjazd koleżeński byłych członków towarzystw akademickich wrocławskich w Poznaniu. — Widok miejsca ostatecznego pogromu Krzyżaków. — Królestwo Polskie utworzone w r. 1815. (Mapa z tekstem.) — Ś. p. Dr. Witold Skarzyński. — Gmach dysseldorfskiej wystawy budowy miast. — Poświęcenie „Resursy“ Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu. — Przędza Matki Boskiej. — Sześć rycin do artykułu p. t. „Zabytki Kowna“ — Witold, Wielki książę litewski. — Święci Cyryl i Metody. — Murzynka afrykańska. — Klisza humorystyczna: Dobry wynalazek.

Materyalna wartość oświaty.

Oświata ludu — dokona cudu. Maksymę tę powtarzają młodzi i starzy, zdobi ona nagłówek wielu pism ludowych, w tysiącach artykułów zużyto ją jako motto i nie ma bodaj jednego wiecu oświatowego, na którymby ją nie akcentowano i nie parafrazowano na wszelkie sposoby. Słowem jest ona na ustach wszystkich i zdawać by się mogło, że wnikła w krew i kości społeczeństwa jako dogmat niewzruszony.

Niestety jest to smutnym losem aforyzmów, że przez częste powtarzanie stają się zdawkowym frazesem, utartym komunałem i tracą jako takie werbującą siłę.

Obawiać się należy, że przydarzyło się to słusznemu i trafnemu orzeczeniu o oświacie.

Albowiem nie na tem polega doniosłość jakiegoś dogmatu, że go ludzie mniej lub więcej bezmyślnie powtarzają, lecz na tem, że weń wierzą, czynnie wierzą, tj. że działanie swoje do wskazań danego dogmatu dostosowują.

Pod tym względem jednak u nas dużo jeszcze pozostaje do życzenia.

Wyuczyliśmy się na pamięć rozlicznych naszych haseł, które zawsze mamy „na podorędziu“, gdy chodzi o palnięcie mówki wiecowej lub napisanie korespondencyjki do gazety, lecz w uczynkach naszych tych haseł gorących nie widać. Wiemy, że „zgoda buduje, a niezgoda rujnuje“, a przecież się kłócimy; wołamy „swój do swego“, a pieniądze zanosimy do obcych; twierdzimy, że będziemy „jednością silni“, a przedstawiamy obraz głębokiego partyjnego rozdarcia; wołamy „oświata ludu dokona cudu“, a na książki i pisma żałujemy pieniędzy, ze składką na cele oświatowe się nie kwapimy a nawet z bibliotek bezpłatnych korzystać należycie nie chcemy.

Przykłady takie dałyby się pomnożyć. Lecz nie będziemy nużyć czytelników naszych.

Mówiąc o oświacie często nie zdajemy sobie jasno sprawy, jakiego to rodzaju cudów ona dokonuje. Wielu upatruje w niej czysto abstrakcyjne, idealne dobro, stosowne dla bogatych, lecz dla ubogich mało przydatne. Wielu zapomina, że oświata bardzo doniosłe praktyczne, materyalne ma znaczenie i to nawet i ten rodzaj oświaty, który na pozór z wymogami praktycznego codziennego życia nic nie ma wspólnego. Cóż mi po tem — powie niejeden — że przeczytam „Pana Tadeusza“, nie sprzątnę przez to więcej żyta ani mi się świnie lepiej utuczą! Być może. Jeżeli jednak często będzie czytał dobre dzieła literackie i zasmakuje w nich, natenczas wzbogaci umysł i serce, stanie się lepszym i światlejszym, dokładniej zrozumie swój cel i swoje w świecie zadanie i ani się spostrzeże, jak te idealne dobra, które w sobie nagromadzi, dobroczynnie poczną wpływać na praktyczne wykonanie zawodu. Twierdzimy śmiało, że człowiek oczytany — chociażby wyłącznie tylko w pięknej literaturze, — produktywniej będzie pracował w swoim zawodzie aniżeli taki, który od wszelkich książek stroni, a cóż dopiero, jeżeli sobie przyswoi rzetelną, praktyczną, fachową wiedzę, nagromadzoną w popularnych podręcznikach naukowych i czasopismach do potrzeb ludu zastosowanych.

Patrzymy w ostatnich dziesiątkach lat na niebywały rozwój gospodarczy społeczeństwa naszego. Rozwój ten dokonuje się na wszystkich polach. Spowodował zbogacenie się ludności i podniósł wymagania życiowe niesłychanie. Stan ten sprzyja materyalistycznemu zapatrywaniu się na sprawy gospodarcze, które zwracają bodaj więcej uwagi na produkt, na towar, a więc na przedmiot zabiegliwości ludzkiej, niż na produkujący podmiot, czyli człowieka. Materyalizm ten uważa oświatę ludu za rzecz nieproduktywną, a przecież jasną jest rzeczą, że najgłówniejszą przyczyną obecnego rozwoju ekonomicznego jest przedewszystkiem rozrost oświaty ludowej. Nie tylko dla tego, że oświecony robotnik lepiej i wydatniej pracuje, lecz nadto, ponieważ łatwość kształcenia się powoduje ustawiczne zasilanie warstw wyższych przez dopływ dzielnych jednostek z ludu. Tym sposobem wytwarza się coraz to silniejszy stan średni, będący najważniejszym czynnikiem pomyślności powszechnej.

Jednakże produkcya tylko wtedy ma istotną wartość, jeżeli jest na nią popyt. Stolarz, chociażby wyprodukował najbardziej artystyczne meble, będzie nędzarzem, jeżeli tych mebli nikt nie kupi. Należy tedy wytwarzać popyt na produkowany towar. Pewnikiem nie-

zbitym jest, że z wzrostem oświaty wzmagają się wymagania życiowe człowieka. Rozbudzone zaś wymagania stara się człowiek zaspokoić. I tutaj znów oświata przychodzi człowiekowi z pomocą uzdolniając go do wydatniejszej pracy i dostarczając tem samem środków do zaspokojenia wzmożonych wymagań życiowych.

Tak więc wpływa oświata dodatnio na wzrost produkcyi i konsumpcyi i przyczynia się tem samem do wzmożenia się bogactwa narodowego.

Był kiedyś czas, że ekonomia polityczna hołdowała nauce Malthusa, który lękając się przeludnienia w ograniczaniu urodzin upatrywał rękojmię przyszłego rozkwitu ludzkości. Tę doktrynę niemoralną i błędną zarzucono i powrócono do starej tezy Woltera, który naucza, że bogactwo państw opiera się na liczbie mieszkańców i ich pracy. To samo odnosi się do narodów. Im liczebnie silniejszy i pracowitszy dany naród — tem bogatszy, a co zatem idzie: potężniejszy. Sama liczebność narodu nie starczy. Naród liczebnie wielki, a pracą mały musi zginąć. Główna rzecz, żeby naród potrafił dobrze i wydatnie pracować, a jak widzieliśmy, nie możliwe to bez oświaty. Lecz i na liczebność narodów wpływa stan oświaty. Jakkolwiek stwierdzono że wysoka kultura wpływa ujemnie na płodność narodów, tak z drugiej strony pewna, że pod wpływem kultury przedłuża się przeciętne trwanie życia ludzkiego i zmniejsza śmiertelność. Zatem: podczas gdy w nieoświeconych społeczeństwach rodzi się dużo dzieci i dużo umiera, a dorośli krótko żyją, w krajach, gdzie oświata wysoko stoi, dzieje się przeciwnie. Ostateczny wynik porównania wypada na korzyść ludów oświeconych także w tej dziedzinie. Jak zaś prędko i dobitnie uwydatnia się wpływ oświaty na zmniejszenie śmiertelności, na to przykładu dostarcza statystyka niemiecka, z której wynika, że pomiędzy r. 1890 a 1900 umarło akurat tyle ludzi, co pomiędzy r. 1870 a 1880, a zapomnieć nie trzeba, że w tym czasie pomnożyła się ludność niemiecka o kilkanaście milionów głów. Rezultat zmniejszonego analfabetyzmu w tym czasie wprost wspaniały.

Oczywiście, że trudno, a raczej niemożliwem byłoby w cyfrach ścisłych wykazać dobroczynny wpływ bibliotek, czasopism, teatrów, muzeów, towarzystw oświatowych i innych urządzeń oświatowych. Spostrzeżemy go jednak natychmiast, jeżeli porównamy kraje, w których grasuje analfabetyzm, z krajami dbającemi o oświatę. Pod tym względem cennych wskazówek dostarcza statystyka austryacka. Statystyka ta oblicza nasamprzód czysty dochód, jaki cały produktywny obszar poszczególnych krajów przynosi, następnie dzieli sumę przypadającą na każdy kraj przez liczbę osób w rolnictwie krajowem zatrudnionych. W ten sposób otrzymuje się cyfry uwydatniające: czysty dochód przypadający na każdego poszczególnego osobnika na roli pracującego. Te cyfry zaś porównane z cyframi oznaczającemi procent analfabetów wydają wielce znamienne i pouczające wyniki. I tak wynosił dochód czysty na głowę w Dalmacyi, gdzie jest 72,6 procent analfabetów, tylko 5,42 koron; w Galicyi, gdzie analfabeci liczą 56 procent, 8,20 kor. na głowę; tymczasem na oświeconych Morawach, gdzie tylko 5 procent jest analfabetów, wynosił czysty dochód na głowę aż 40,41 koron. Znaczy to, że światły rolnik morawski 5 razy bogatszy jest od rolnika galicyjskiego, a 8 razy bogatszy od Dalmatyńca. Za to tak Galicya jak Dalmacya toną w mrokach analfabetyzmu, gdyż w Galicyi większa połowa, a w Dalmacyi trzy czwarte ludności nie potrafi pisać i czytać, — podczas gdy na Morawach tylko 5 ludzi na 100 jest analfabetami.

Na tym przykładzie znowu widzimy, że oświata bynajmniej nie jest dobrem wyłącznie tylko idealnem, lecz że ma doniosłe i ważne praktyczne materyalne znaczenie, wartość dającą się poniekąd obliczyć w brzęczącej monecie.

Któżby nareszcie śmiał przeczyć, że uszczęśliwia ona nadto człowieka, że czyni go lepszym, zacniejszym, że hartuje wolę, zaostrza sumienie, podnosi ducha obywatelskiego i narodowego, że chroni od złych przyjaciół i występków? Toż światłe społeczeństwo i w polityce szczęśliwsze, nie podlega tak łatwo podszeptom demagogów, łatwiej się wystrzega zarówno ułudnych nadziei jak szkodliwego przygnębienia i rozpaczy...

Więc nie powtarzajmy tylko ustami frazesu o oświacie, lecz otwórzmy dla niej samej serca i umysły. Czerpmy ją, skąd można, a obficie biją jej ożywcze i zbawcze strumienie. Użyczmy im też współbraciom, agitując za rzetelną oświatą szerzącemi czasopismami. Nie skąpmy nareszcie grosza na zasilenie Towarzystwa Czytelni Ludowych, na rzecz których wszystkie gazety przyjmują składki. Pamiętajmy, że tysiące jeszcze braci naszych łaknie zdrowego, jędrnego pokarmu duchowego.

Nieśmy im oświatę!

O wolny wybór lekarzy.

Przed feryami parlamentarnemi wyłoniła się w prasie naszej ożywiona dyskusya nad przyszłem ukształtowaniem stosunku lekarzy kasowych do kas chorych.

Warto powrócić do tej sprawy, która po zakończeniu feryj parlamentarnych na nowo stanie się aktualną.

Ważna ta dla szerokich warstw ludności kwestya domaga się należytego uregulowania i to tak w interesie zabezpieczonych w kasach chorych robotników, jak w interesie samychże lekarzy kasowych, których obecnego położenia nie można nazwać szczęśliwem.

Dotychczas sprawa ma się tak, że poszczególne kasy chorych zawierają kontrakty z szeregiem lekarzy, którzy jako lekarze kasowi za umówionem honoraryum leczą członków poszczególnych kas.

Wysokość tych honoraryów w różnych kasach jest różna. Są kasy, które płacą przeciętnie za każdą wizytę lekarską 1 markę, lecz należą one do chwalebnych wyjątków. Większość kas w Poznaniu n. p. płaci lekarzom za każdego chorego po 50 fenigów tygodniowo bez względu na to, czy chory konsultuje lekarza raz w tygodniu w pomieszkaniu, czy też—jak to w wypadkach ciężkiego zachorzenia bywa — lekarz codziennie chorego odwiedza.

Każdy bezstronnie myślący człowiek przyzna, że wynagrodzenie to nie stoi w należytym stosunku ani do usług, które lekarz choremu świadczy, ani też do honoraryów płaconych lekarzom zazwyczaj przez osoby prywatne. Dochodzi do tego wielka zależność lekarzy kasowych od zarządów kas, które z lada powodu, a nawet bez powodu mogą lekarzom pracę odjąć, wypowiadając z końcem kwartału umowę.

Ten stan rzeczy uczuwają lekarze

ciężko, a nawet stał się on powodem przykrych wprost widowisk, jakie dawały liczne strejki lekarzy.

Co prawda polepszyła się pozycya lekarzy znacznie przez to, że za przykładem innych stanów zorganizowali się w związkach lekarskich. Z temi organizacyami zawodowemi, do których na ogólną liczbę 25000 lekarzy w Niemczech 23000 lekarzy przystąpiło, muszą się liczyć zarządy kas, jednakże mimo wszystko położenie lekarzy kasowych wciąż jeszcze pozostawia do życzenia.

Nie tylko lekarze mają z racyi tej dużo powodu do niezadowolenia, lecz przedewszystkiem szemrzą na te stosunki członkowie kas chorych.

Mają oni słuszną pretensyę do t. zw. wolnego wyboru lekarzy, to znaczy: chcą się leczyć u tych lekarzy, do których mają zaufanie, a którzy wskutek obecnie istniejących norm od praktyki kasowej nierzadko są wykluczeni. Zaspokojenia tej słusznej pretensyi wymaga sprawiedliwość i ludzkość i to tem bardziej o ile rzecz sama łatwo jest wykonalna. Wiadoma bowiem jak wielką rolę odgrywa zaufanie do lekarza i wiara w jego sztukę. Nikt zatem nie ma prawa pozbawiać chorego tej dobroczynnej sugestyi.

Tymczasem spotyka się to słuszne ze wszech miar żądanie ze znacznym oporem u zarządów kas chorych. Obawiają się one rzekomego współzawodnictwa lekarzy w ubieganiu się o względy chorych kasowych przez zapisywanie drogich lekarstw, win itd., coby kasę na niepotrzebne narażało koszta. Z drugiej strony nie chciałyby stracić dotychczasowej pozycyi pracodawców wobec lekarzy i związanej z nią nad nimi władzy.

Że na tych scysyach, na tej cichej walce toczącej się pomiędzy zarządami kas, a lekarzami kasowymi także chorzy niekiedy źle wychodzą, zdaje się nie być wykluczonem. Szukać tedy należy dróg i sposobów, by o ile możności pogodzić sprzeczne te interesy.

Taką sanacyę stosunków przeprowadzono przed kilkoma laty po wielkim strejku lekarzy w Lipsku. Normy tam przyjęte wprowadzono także w szeregu innych miast, mianowicie na południu Niemiec i to z dobrym skutkiem.

Wspomniana sanacya polega na tem, że reprezentacya kas chorych zawiera z reprezentacyą związku lekarzy umowę co do obopólnych obowiązków kontrahujących stron, poczem ci lekarze, którzy godzą się na warunki ustanowione i pragną wykonywać obowiązki lekarzy kasowych, powiadamiają o tem reprezentacyę kas i tem samem stają się lekarzami kasowymi. Ponieważ jednak kasy zrzekają się prawa jednostronnego składania lekarzy kasowych z urzędu, przeto ustanowiono specyalną komisyę lekarską, której zadaniem czuwać nad prawidłowem wykonywaniem umowy.

System ten zapewnia członkom kas, bo o nich przedewszystkiem chodzi, możność prawie nieograniczonego wyboru lekarzy, a zatem należytą opiekę lekarską; lekarzy zaś wyjmuje z pod przykrej niekiedy zależności od zarządów poszczególnych kas chorych i gwarantuje im należyty współudział w ustaleniu warunków, pod jakiemi oddają swą pracę. Zarządy kas poświęciły wprawdzie część swej nadmiernej obecnie władzy, lecz poświęciły ją na rzecz komisyi, która interesów kas broni sumiennie i bezstronnie.

Jak powiedziano: system ten, praktykowany w południowych Niemczech od lat kilku, bardzo pomyślne dla wszystkich interesowanych wydał rezultaty, należałoby się tedy starać o powszechne jego zaprowadzenie w drodze ustawodawczej.

Z życia kolonii polskiej w Londynie.

Kolonia polska w Londynie składa się oprócz kilkudziesięciu inteligentów z robotników przybywających przeważnie z Królestwa w liczbie około 2000 dusz. Posiadają szkółkę i czytelnię utrzymywaną ofiarnością pp. Pace. Pani Pace bowiem jest Polką i pochodzi z Księstwa.

Istnieje także misya polska kierowana przez OO. Salezyanów. Niestety nie posiada własnego kościoła tylko tuła się po rozmaitych wynajętych miejscowościach. Już dawno inteligenci starają się o to, ażeby stanął taki własny kościół. W tym celu zawiązali przed kilkunastu laty Komitet budowy kościoła polskiego w Londynie.

Komitet ten urządził wiec polski w lipcu b. r. w lokalu Czytelni Polskiej w Londynie, aby zdać sprawę z działalności dotychczasowej.

Wiec odbył się w porządku i prawidłowo. Zebrało się kilkaset Polaków. Przykre tylko bardzo uczyniło wrażenie, że mimo zaproszenia duszpasterz polski O. Salezyanin nie przybył.

Przy stole komitetu zasiadł weteran z r. 63. zasłużony literat p. Dr. Nekanda-Trepka, przewodniczący, który zagaił zebranie. W dalszym ciągu przemawiali pani Zofia Pace, sekretarka komitetu, p. Józef Kostrzewski, akademik i p. Wróblewski, malarz odczytał sprawozdanie z działalności komitetu, a p. Tomasz Pace sprawozdanie skarbnika. Nad sprawozdaniami wywiązała się ożywiona dyskusya. Na koniec wiec udzielił pokwitowania Komitetowi, wzmocnił go dobraniem jeszcze czterech członków i uchwalił następującą rezolucyę:

1. Żeby nie przedłużać nadal dzierżawy kaplicy na Mercer Street E.

2. Żeby poprosić ks. Arcybiskupa o pozwolenie, aby Polacy mogli nabyć stały kościół w lepszej i dostępniejszej okolicy Londynu, któryby był własnością kolonii pod zwierzchnictwem Arcybiskupa.

W tym celu uchwalono udać się z petycyą do ks. Arcybiskupa.

K.

Wiadomości.

— Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— Przy grach i zabawach, przy uroczystościach publicznych i podczas zebrań towarzyskich — wszędzie i zawsze pamiętajmy o składkach, choby groszowych, na Dar Grunwaldzki dla Towarzystwa Czytelni ludowej.

W dalszym ciągu złożył na cel powyższy na nasze ręce p. B. Golisch, właściciel młyna Rux pod Szamotułami 5 mrk.

— **„Straż.“** Biuro „Straży“ znajduje się przy ulicy Rycerskiej pod nr. 12. Biuro jest otwarte od godz. 12— 2-giej w południe i od pół do 6-tej do pół do 7-mej wieczorem. Telefon nr. 1640.

Dr. J. Schroeder, ul. Rycerska 12.

— **Towarzystwo Czytelni Ludowych.** Wszelkie korespondencye w sprawie Towarzystwa, zakładania bibliotek i t. d., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem: Czytelnia Ludowa, Poznań (Posen, Schützenstr. 31. II.) Adres skarbnika: Dr. Kapuściński, Poznań, (Posen).

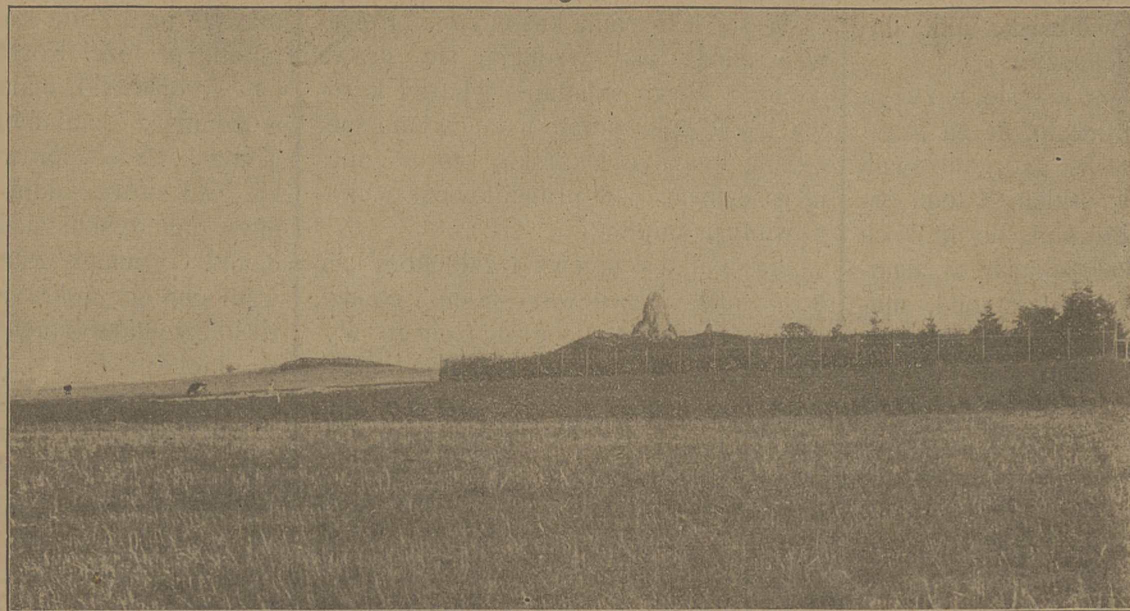
— **Lecznica bezpłatna** Tow. społeczno-hygienicznego przy ul. Rycerskiej nr. 28 otwarta codziennie od pół do 9-tej do pół do 10-tej rano (choroby skórne i pęcherza i choroby wewnętrzne) oraz od 2—3-ciej po południu (choroby dziecięce i kobiece).

Dr. Adam Karwowski, sekretarz.

— **Na restauracyę kościoła w Czerwińsku** nadesłała na nasze ręce p. A. Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 1 mrk.

— **Ze sprzedaży** kart gratulacyjnych i kondolencyjnych, zastępujących telegramy wpłynęło w dalszym ciągu do kasy 90 mk. 94 fen., z tej sumy złożyła firma A. Rose w Bazarze na ręce redakcyi „Wielkopolanina“ 73 mrk. 69 fen.

— **Ważne dla rekrutów!** Często się dzieje, że młodzi ludzie powołani do służby woj-



Widok miejsca ostatecznego pogromu Krzyżaków.
Część pola bitwy między laskiem a kamieniem pamiątkowym, gdzie poległ wielki mistrz krzyżacki. Tu dokonał oręż polski ostatecznego pogromu Krzyżaków. Kamień ustawiony niedawno temu przez Niemców, stoi na gruzach kaplicy, którą kazał wystawić Henryk de Plauen, a którą zniszczy pożar w czasie wojny 1414 r. Wedle legendy odpoczywał Jagiełło siedząc na kamieniu tym po bitwie a rycerze składali przed nim zdobyte chorągwie krzyżackie.

skowej zarzucają lub odkładają na ubocze niewypełnione karty kwitowe znaczkami inwalidowemi. Zwracamy przeto uwagę, by w danych wypadkach młodzieńcy przed udaniem się do wojska zamieniali na urzędach policyjnych karty swe bez względu na to, czy są zapełnione lub nie, gdyż wówczas nie tracą one swej wartości.

— **Dzieci przy płocie za polską rozmowę.** „Mazur“ pisze: W Botowie, jak nam donoszą, nauczyciel dzieciom polskim za polską mowę przy płocie stać każe. Rodziców polskich serce bardzo boli z tego powodu i proszą inspektora szkolnego, aby postarał się o naprawę złego.

— **„Wolność“ obywatelska w Prusiech.** Gospodarz Matelski z Darnowa pod Kościanem, który piastuje urząd ławnika gminnego w Darnowie, został, jak czytamy w kościańskiej „Gaz. Polskiej,“ dnia 26-go sierpnia zawezwany na termin do komisarza w Kościanie. Komisarz oświadczył mu, że jeżeli chce nadal pozostać ławnikiem, musi wystąpić z polskiej kasy pożyczkowej; może natomiast wstąpić do kasy niemieckiej. Pan M. oświadczył na to, że z polskiej kasy nie myśli występować. Komisarz tłumaczył się wówczas, że otrzymał taki nakaz z góry, więc musi pana M. przesłuchać i spisać protokół.

Nekrologia.

† **Ś. p. Władysław Belina** z Bobrownik, porucznik wojsk polskich z 1863-go roku, ostatni w Wielkopolsce po mieczu potomek starożytnego rodu hrabiów na Belinie, sławnego niegdyś w Czechach i w dawnej Polsce, umarł dnia 30-go z. m. w 78-mym roku życia. — **Ś. p. Franciszek Ksawery Markiewicz,** dnia 28-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 66. — **Ś. p. Feliks Wojtycha,** dnia 31-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 79. — **Ś. p. Maciej Kaczmarek,** dnia 1-go b. m. w Górczynie pod Poznaniem w 78-mym roku życia. — **Ś. p. Antoni Witajewski junior,** dnia 2-go b. m. w Opalenicy, przeżywszy lat 34. — **Ś. p. Adolf Moschall,** budowniczy z Koronowa, dnia 2-go b. m u wód w Salzbrunn. Pogrzeb odbył się dnia 6-go b. m. w Koronowie. — **Ś. p. z Bielawskich Kazimira Grybska,** dnia 3-go b. m. w Inowrocławiu w 27-mym roku życia. — **Ś. p. Maryanna z Małkowskich Bagińska,** dnia 4-go b. m. w Podgórzu pod Toruniem, przeżywszy lat 85. — **Ś. p. Anna Langner z domu Głowacka,** dnia 2-go b. m. w Berlinie. — **Ś. p. Wiktorya Mikulska,** dnia 5-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 84. — R. i. p.

Nowe książki i treść pism.

— **„Kalendarz Maryański na rok Pański 1911.“** Nakładem Karola Miarki w Mikołowie. Cena 60 fen. Rocznik ten ulubionego w szerokich warstwach kalendarza jest również obfitym w treść, jak poprzednie. Liczne ilustracye i dodatki podnoszą wartość. W treści powieściowej uwzględnione są najważniejsze wypadki jubileuszowe i bieżące, jak to: „Pamiątka nawrócenia Litwy do chrześcijaństwa i pięćsetnej rocznicy pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem,“ „Polska na Jasnej Górze,“ „300 letni jubileusz Kalwaryi Zebrzydowskiej“ itd.

— **Treść** nr. 9-go „Zjednoczenia,“ organu Towarzystw kobiecych oświatowych na rzeszę niemiecką: Praca społeczna — a miłosierdzie. — Szkoła pracy domowej w Zakopanem. — Z kwestyi kobiecej. — Kursy pedagogiczno-naukowe dla kobiet w Warszawie. — Pożyteczna instytucya. — Korespondencya. — Z naszych Towarzystw. — Ze świata kobiecego. — Ogłoszenia.

— **Śpiewaka,“** miesięcznika literacko-muzycznego, organu Związku Kół Śpiewackich opuścił prasę nr. 9-ty i zawiera: Od Wydziału, Kasa Związku, Do wiadomości Kół, Sprawozdanie ze Zjazdów Śpiewackich w Bydgoszczy i Śremie, Dwudziestopięciolecie „Halki“ w Bydgoszczy (przez Dr. Giżyńskiego), Pokłosie ze Zjazdów tegorocznych, Feliks Nowowiejski (krótki życiorys), Wiadomości ze świata muzycznego, z życia Kół i rozmaitości.

Jako dodatek muzyczny: Wrażenia ze wsi słowa Laskowskiego — muzyka M. Fibaka — chór męski.

Przedpłata kwartalna 1,00 pojedyńcze zeszyty po 40 fen. Roczniki starsze po 50 fen. (za zaliczką).

„Śpiewak“ jako jedyne pisemko tego rodzaju w Niemczech — zasługuje na serdeczne poparcie!

Numery okazowe wysyła gratis, franco Eksp. „Śpiewaka.“ Adres: K. T. Barwicki — Halbdorfstr. 35.

Od Redakcyi.

— **Prenumeratorce „Pracy“ w Ostrowie.** — 1) Znawcy takiego nie ma w Poznaniu. 2) Sztuka odgadywania charakteru człowieka z jego pisma nazywa się grafologią, o której pisaliśmy obszernie w zeszłym numerze. 3) Hodowli takiej nie ma w Wielkopolsce.

— **Panu Stanisławowi S. w Moskwie.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale z tą sprawą rzecz ma się zupełnie przeciwnie, jak opiewa humoreska „Na przyzbie.“ Ów jegomość nie zbudował sobie sam mieszkania, ale zbudował mu je kraj cały i dał w podarunku. Za pozdrowienie serdeczne dzięki.

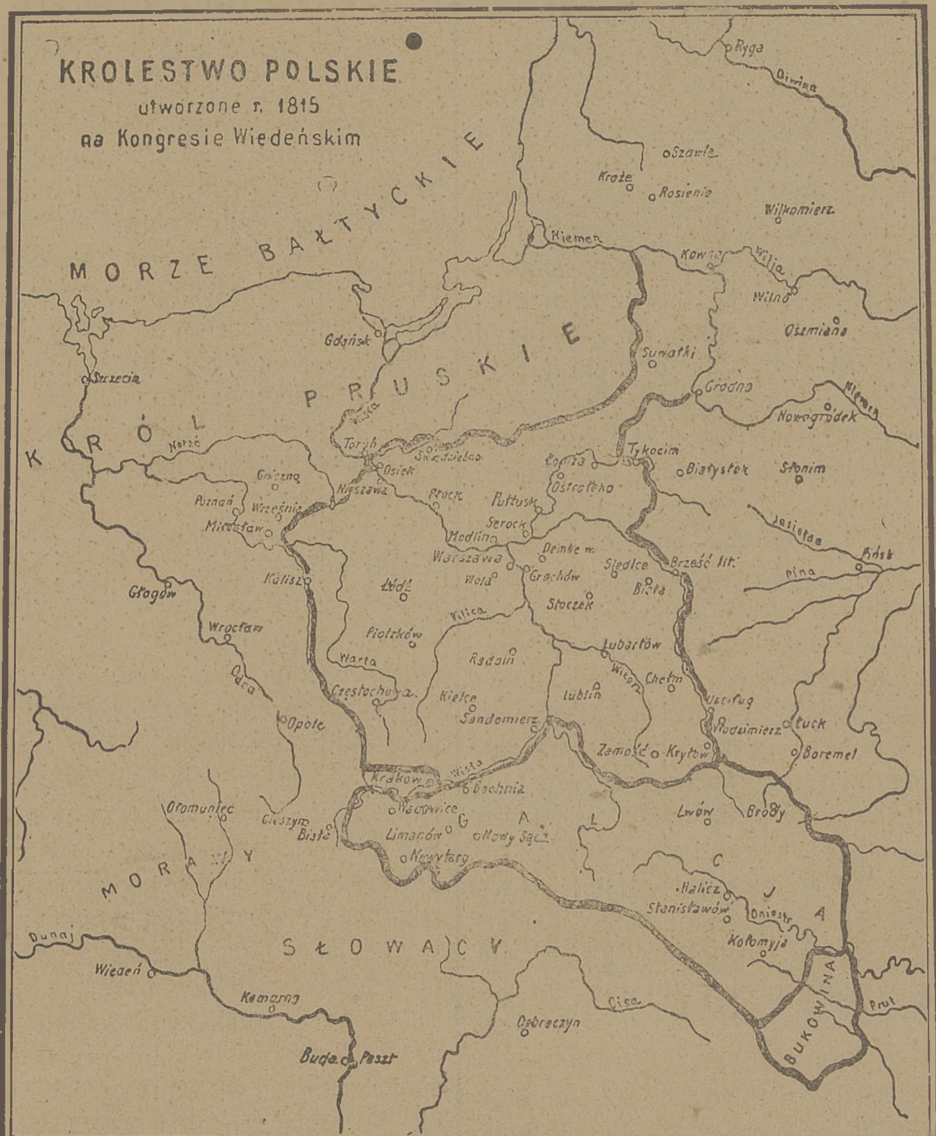
— **Samoukowi na prowincyi.** — Wyraz „karło“ jest czysto staropolskim wyrazem i oznacza fotel lub też krzesło z poręczami.

— **Panu Józefowi K. pod Gnieznem.** — Racya; artykuł „Nieco o grafologii“ przedrukowało owo pismo prowincyonalne z ostatniego numeru „Pracy,“ nie podawszy naturalnie źródła.

— **Wielebnemu księdzu N. w Galicyi.** — Po kuracyi głodowej należy żołądek bardzo ostrożnie i małemi dawkami przyzwyczajać do przyjmowania potraw. W każdym razie najlepiej kazać sobie przepisać dyetę przez lekarza.

— **Panu W. O. w Poznaniu.** — Wiersz ładny, lecz nie bez usterek. Drukowany nie będzie w „Pracy.“

IX. Królestwo Polskie
utworzone w 1815 roku.



Polacy zwrócili się do Napoleona o pomoc, a ten po pogromie Prus w r. 1806—7 utworzył z części ziem polskich tak zwane Księstwo Warszawskie. Po pogromie Napoleona państwa zaborcze na kongresie wiedeńskim utworzyły z tego Księstwa tak zw. Królestwo kongresowe z własnym sejmem i wojskiem, z własnymi ministrami. Po pogromie powstania r. 1830—31 zniósł rząd carski sejm, wojsko, a po powstaniu w r. 1863 zniosiono resztki odrębnych urządzeń i wcielono Królestwo jako „kraj przywiślański“ do Rosyi. Jednak nazwa „Królestwa kongresowego“ się utrzymała, a nawet car rosyjski tytułuje się dotąd królem Polski. Królestwo liczy obecnie 127 tys. $klm.^2$ z $11^1/_2$ milionami mieszkańców; w tem jest 9 milionów Polaków. Stolica Warszawa ma 800 tys. mieszkańców, Łódź 400 tys., Częstochowa, Sosnowiec, Lublin każde po 60 tys. mieszk. Miasta wzrastają tak szybko dzięki temu, że przemysł rozwija się pomyślnie.

Tadeusz Łabendziński.

Wykłady popularne.

B. XIII.

Co się wytwarza w przemyśle chemicznym?

Dzieje przemysłu chemicznego, którego rozprzestrzenienie i znaczenie dziś do tak wielkich już doszło rozmiarów, i którego doniosłość ekonomiczna jest tak olbrzymią, że tworzy jedną z najsilniejszych podwalin bogactwa narodowego w państwach cywilizowanych, nie są dawne, gdyż datują dopiero od stu lat. Wtenczas to nauka chemiczna, z początku głównie we Francyi i Anglii, później w Niemczech i innych krajach uprawiana, ogromnego, a nadzwyczaj szybkiego doznała rozwoju i wskazała zdumionej ludzkości nowe sposoby wytwarzania przeróżnych ciał i fabrykatów, w wielkiej części dotąd nawet nieznanych, drogą często prostą i przystępną, opartą na ścisłych i bardzo ciekawych badaniach nowoczesnej nauki. Już wprawdzie w wiekach starożytnych umiano fabrykować szkło, niektóre farby, cegłę, wapno a nawet z rudy wytapiać metal, później nawet alkohol i ocet wytwarzać, lecz robiono to wszystko bez znajomości należytej danego przedmiotu, w często naiwny i mozolny sposób, bez wnikania w istotę rzeczy. Z chwilą, kiedy chemia zajęła się wytwarzaniem przedmiotów różnych, tak nam dziś dla życia niezbędnych, nie tylko uprościł się sposób fabrykacyi, lecz zakres wytwórczości ludzkiej odrazu znacznie się rozszerzył, tak, że dziś już obejmuje najróżnorodniejsze gałęzie przemysłu, którego dalszego rozwoju w przyszłości wcale nie można przewidzieć. Dziś już każdy chemik jest specyalistą w swojej branży — a specyalizacya ta wprost z dnia na dzień postępuje. Do ważniejszych produktów, t. zw. podstawowych, wytwarzanych w dziale przemysłu chemicznego, nieorganicznym zwanym, należy wyrób kwasów, jak siarczanego, solnego, azotowego i węglowego. Specyalnie kwas siarczany ma w dalszym przemyśle chemicznym niezmierne zapotrzebowania i to najróżnorodniejsze, tak że każda prawdziwie wielka fabryka chemiczna wytwarza sobie go sama. Uzyskuje go się albo wprost z siarki, której bogate pokłady przeważnie znajdują się na wyspie włoskiej Sycylii, albo też z obficie napotkanych rud siarczkowych (np. piryt), przez spalanie ich przy dostępie powietrza i dalsze utlenianie za pomocą kwasu azotowego. Dzieje się to w wielkich komorach ołowianych, wysokich na kilkanaście metrów, gdyż inny materyał kwas siarczany by trawił i niszczył. Kwas solny uzyskuje się w wielkich ilościach przy fabrykacyi sody za pomocą starszej metody Le Blanca, przez działanie kwasu siarczanego na sól kuchenną w wyższej temperaturze, przyczem tworzy się kwas solny i t. zw. sól glauberska, z której to przez dalsze prażenie w piecach, najprzód z węglem dla odtlenienia, a później z kamieniem wapiennym stwarza się węglan sodu, czyli soda. Przy wyrabianiu kwasu azotowego również potrzebny jest kwas siarczany, gdyż powstaje przez działanie ostatniego na saletrę chilijską, t. j. azotan sodu. Sodę jedną z najważniejszych soli w przemyśle chemicznym, której roczna fabrykacya do setek milionów centnarów dochodzi, a której jeden sposób wyrabiania już poznaliśmy, wytwarza się w nowszych fabrykach już za pomocą t. zw. elek-

trolizy, a więc za użyciem prądu elektrycznego, lub też na t. zw. sposób amoniakalny czyli Solvaya (np. w Mątwach pod Inowrocławiem), polegający na przejściu soli kuchennej (będącej w stanie rozpuszczonym t. zw. solanki) za pomocą amoniaku i kwasu węglowego (bezwodnika węglowego) na węglan sodowy czyli sodę. Wielkich ilości kwasu siarczanego zużywają też fabryki chemiczne, trudniące się wytwarzaniem t. zw. sztucznych nawozów, a więc superfosfatów i tomasówek. Jest to fabrykacya bardzo prosta, polegająca na przekształceniu normalnych fosforanów wapnia (fosforytów) na kwaśne za pomocą kwasu siarczanego, która to kwaśna sól, jako rozpuszczalna we wodzie, jedynie zdatną jest do udzielenia pokarmu roślinom. W gazowniach wytwarzamy z węgla kilka chemicznych produktów, nadewszystko więc gaz, służący do oświetlania, a składający się przeważnie z metanu (wodoru węgla) i czystego wodoru, oraz amoniak, przedstawiający chemiczne połączenie azotu z wodorem. W wielkich masach fabrykują dziś zakłady chemiczne różne gazy w ścieśnionej postaci, sprzedawane w t. zw. bombach, np. tlen, wodór, a przedewszystkiem bezwodnik węglowy (kwas węglowy), nadający różnym napojom należyty smak (piwu, limonadzie, wodzie selterskiej). Wyrób cegieł jako i różnych gatunków porcelany z gliny zwykłej aż do najdelikatniejszej (kaolin biały) należy także do przemysłu chemicznego. Tu dotąd zaliczyć należy wytwór szkła z piasku, o ile możności białego, nie zawierającego żelaza (szkło czeskie), papieru, celuloidu, atramentu oraz farb mineralnych, z których jedne są połączeniami chemicznemi zwykłemi metali (siarczek cynku, siarczan baru, chromian potasu) inne więcej skomplikowane, jak ultramaryna. Do przemysłu organicznej chemii, trudniącego się wyrobem takich ciał, które są połączeniami pierwiastku węglika z innemi, nadewszystko z wodorem, tlenem i azotem, a których to ciał znamy już dziś nie tysiące, lecz dziesiątki tysięcy, należy przedewszystkiem fabrykacya najprzeróżniejszych farb, używanych w chemicznych farbiarniach oraz przędzalniach, zajmujących się także apreturą i farbiarstwem swych wełnianych i bawełnianych wyrobów. Farb takich istnieje nieskończona ilość, a wartość ich polega nie na pięknym kolorze, lecz przedewszystkiem na odporności ich względem wody (przy praniu) i powietrza. Niektóre z tych farb są pod tym względem nadzwyczaj trwałe, np. indygo, które dopiero w najnowszych czasach udało się badeńskiej fabryce farb w Mannheimie sztucznie wytworzyć, podczas gdy dotąd była słynna ta ciemno-niebieska farba, znana tylko jako produkt roślinny, sprowadzany aż z Indyj Wschodnich. Pozatem należą do przemysłu chemiczno-organicznego cukrownie, które dziś z buraków wyciągają cukier przez ługowanie go za pomocą gorącej wody, a następne odparowywanie roztworu i krystalizowanie gotowego produktu, podczas gdy dawniej trzcina cukrowa, rosnąca tylko w ciepłych krajach, jedynem była źródłem fabrykacyi tego tak niezbędnego, smacznego i zdrowego artykułu. Także gorzelnie, w których z mączki kartoflanej przez fermentacyę wytwarza się alkohol czyli spirytus, i browary, gdzie znów piwo przez przechodzenie mąki jęczmiennej w słód i następną fermentacyę w alkohol się przeobraża, do chemicznych zawodów zaliczyć należy. Tu dotąd należą też przedewszystkiem fabryki mydła oraz świec. Mydła, przy których rozróżniamy twarde (sodowe) i miękkie (potasowe) wytwarza się z tłuszczów, przeważnie świata roślinnego (także wełny baraniej, z której tłuszczu robią mydło t. zw. lanolinowe). Sposób ten polega na użyciu silnych ługów (sodowego lub potasowego), rozkładających tłuszcze na mydło, które to pod chemicznym względem przedstawia połączenie ługu z kwasem jakimś słabym, organicznym, i gliceryną. Świece zaś składają się z pewnych równie słabych kwasów organicznych, mających w zwykłych warunkach temperatury stan skupienia stały, wytwarzanych z przeróżnych woskowatych tłuszczów, za pomocą silnych kwasów, np. kwasu siarczanego. Fabrykacya octu polega dziś przeważnie na szybkiem utlenieniu alkoholu na kwas octowy w rozcieńczonym stanie za pomocą dostępu powietrza (tlenu). O wyrabianiu różnych olejków pachnących, perfum, kosmetyków itd. warto tylko wspomnieć, gdyż opisanie ich dokładnie, a choćby wyliczanie tylko za daleko by nas doprowadziło.

O przyjdzie chwila... przyjdzie ów dzień Boży,
Naród zebrany razem się ukorzy,
Rozbłysną wszystkie światła zapalone,
Zadźwięczą chórem dusze umęczone —
I tym wszechbólem wielkim zespoleni,
Jedną ideą świętą ożywieni —
Gdy wzniesiem w niebo potężne błaganie
Ty nas wysłuchasz, wierzę, ufam — Panie!...

Z żałobnej karty.

Ś. p. Dr. Witold Skarzyński.

Z Aix les Bains w południowej Francyi nadeszła żałobna wiadomość, że zmarł tam dnia 1-go b. m. rano ś. p. Dr. Witold Skarzyński, poseł do parlamentu i dziedzic dóbr Spławie.

Ś. p. Dr. Witold Skarżyński urodził się w r. 1850; ukończywszy gimnazyum w Poznaniu studyował prawa w Bonn i Berlinie, a ekonomii politycznej w Sorbonie i Collège de France.

Odbywszy studya agronomiczne w Proszkowie, uzyskał stopień doktorski w Berlinie.

Po dłuższej podróży po Francyi i Anglii, powróciwszy do kraju, pracował jeszcze przez lat dwa w Wrocławiu i w pełni dopiero przygotowany do pracy obywatelskiej, objął rodzinny majątek Spławie, gorliwy, przywiązany, umiejętny sługa swej roli, swego kawałka ziemi. Umiał jej służyć, umiał ją podnosić, a pod jego kierownictwem Spławie stało się przykładem i żywą nauką gospodarstwa postępowego. Ziemiaństwo nasze powołało go do zarządu Centr. Tow. Gospodarczego, w którym do śmierci gorliwie pracował.

W życie publiczne wstąpił młodo, a z każdym rokiem rósł pośród społeczeństwa w wpływy i w znaczenie. W sądzie jasny i trzeźwy, podejmujący chętnie każdą pracę i pełniący ją z gorliwością, stał się w każdej pożądanym, później potrzebnym, zdobył sobie od razu w życiu naszem publicznem zaufanie pełne. Mąż obszernej wiedzy zajmował i piastował przez czas dłuższy godność wiceprezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

W r. 1881 wybrany posłem do sejmu pruskiego wchodził do niego z otwartą głową, dobrze do służby publicznej przygotowany i stał się od razu jednym z posłów prawdziwie rozumnych i prawdziwie pożytecznych; przemówienia jego w plenum sejmu, czy parlamentu nacechowane były zawsze głęboką znajomością przedmiotu, o którym mówił, i tą powagą, która nawet u przeciwników poszanowanie wzbudzała, a w komisyach niezrównanym i rozumnym był pracownikiem. Wybrany ponownie posłem do parlamentu w r. 1903 piastował mandat ten aż do śmierci.

Dalej należał do wydziału prowincyonalnego i powiatowego, do izby rolniczej, a wszędzie spełniał gorliwie podjęte obowiązki. We wszystkich Towarzystwach czynny brał udział.

Zmarły, chociaż arystokrata w oso-

bisto-towarzyskich stosunkach, szedł w polityce w kierunku demokratycznym, dążącym do uobywatelnienia szerokich mas ludowych.

Nieboszczyk poza tem wszystkiem znajdował czas i na literacką pracę w dziedzinie politycznej, społecznej i ekonomicznej.

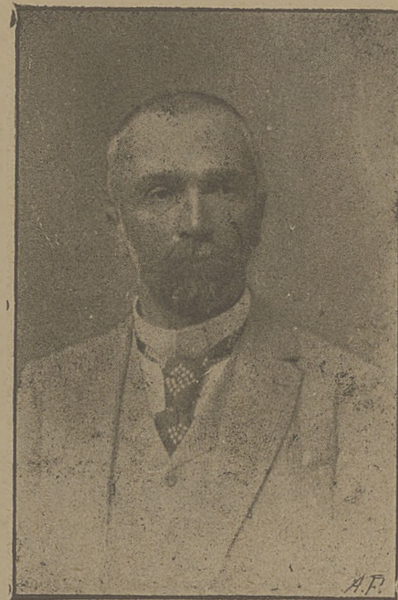
Doktorat uzyskał na mocy rozprawy: „Pierre de Boisguillebert und seine Beziehungen zur neueren Volkswissenschaftslehre“; w roku 1878 napisał „Adam Smith als Moralphilosoph und Schöpfer der Nationalökonomie“; w roku 1889 „Denkschrift betreffend eine gründliche Reform des ländlichen Realkredits“ i „Denkschrift betreffend eine Reorganisation der Reichsbank“. Obydwa te memoryały opracowane bardzo gruntownie zawierały dużo myśli nader zdrowych, choć może trudnych w praktyce do przeprowadzenia. Zwolennik bimetalizmu, bronił systemu tego zawsze i podniósł to w swym memoryale o reformie banku Rzeszy. Z społeczno-politycznych pism jego wymienimy: „Jedności!“ broszura napisana w roku 1882; „List otwarty do Centralnego komitetu wyborczego dla W. Ks. Poznańskiego“ w r. 1884; „Odczyty o kwestyi socyalnej“ publikowane w r. 1892; „Nasza sprawa“ w r. 1897.

Można było nie godzić się na te lub owe zapatrywania zmarłego, można było różnić się z nim w zdaniu co do rozmaitych kwestyj, ale trzeba było podziwiać ten umysł rozległy, tę jasną świadomość myśli, szanować stałość przekonań, śmiałość w ich wypowiedzeniu.

Ś. p. Witold Skarżyński umysł miał żywy, uczucie gorące a w oburzeniu na złe aż czasem namiętne. Wykształcony gruntownie, zaznajomiony z literaturą i wszelkiemi kwestyami bieżącemi, był w całem tego słowa znaczeniu obywatelem ziemianinem a przy tem obdarzony w wysokim stopniu rzadką uprzejmością i delikatnością, nader miłym towarzyszem. We wszystkiem przebijał się w nim wysoki stopień prawdziwej cywilizacyi, wysoki stopień moralnej wartości.

Ożeniony w r. 1887 z Anną Chłapowską z Bonikowa, ś. p. Witold stworzył dom prawdziwie polski, w którym długie lata kwitnęło szczęście niczem niezamącone; ale przyszła choroba i horyzont szczęścia zaczął się powoli zaciemniać, aż nagle grom uderzył. Z trojga dzieci najstarsza córka poświęciła się Bogu i wstąpiła do zakonu Panien Sercanek, syn Adam i druga córka Paulina stracili ojca w wieku, kiedy bardzo jeszcze rady i opieki jego potrzebować by mogli.

Strata ś. p. Witolda Skarżyńskiego, brak jego, boleśnie da się odczuć nie



† Dr. Witold Skarzyński.

tylko rodzinie, ale całemu społeczeństwu naszemu w politycznem i społecznem życiu.

Cześć Jego pamięci!

Dysseldorfska wystawa budowy miast.

Własna korespondencya „Pracy.“

Dysseldorf, 4 września.

I.

Dyseldorfski pałac sztuki, wybudowany na wystawę światową z roku 1902, mieścił od owego czasu już niejedną inną wystawę w swych murach. Tak w zeszłym roku była tam wystawa sztuki kościelnej; tego roku zaś w sierpniu otwarto w tym przybytku sztuki wystawę budowy miast.

Bardzo ciekawy i obfity materyał z wszystkich prawie państw europejskich — z Niemiec, Francyi, Anglii, Austryi, Holandyi, Finlandyi, Danii, Szwecyi, Belgii — i Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej, z Afryki itd. można tam oglądać. Oprócz całego materyału wystawionego swego czasu w Berlinie pozyskano większość miast nadreńskich i westfalskich i sporo zagranicznych, między tem i plany „Wielkiego Chicaga“, które tworzy razem z wielkim Berlinem wystawę dla siebie.

Na wystawie tej znajdują się bogate materyały o kwestyi zabudowania, prawie i kwestyi gruntowej, o zaciąganiu pożyczek i hipotek, sprawie ruchu i komunikacyi, hygieny etc., wogóle o wszystkiem, co może mieć związek z budową czy to wsi najmniejszej czy też największego miasta. Wyliczenie wszystkich tych przedmiotów jest chyba najlepszym dowodem na to, że jest wprost wykluczone, aby jeden osobnik mógł znać wszystkie zadania i zagadnienia budowy miast; jest na to konieczną współpraca lub też współubieganie się wielu fachowców, zwłaszcza gdy chodzi o załatwienie najgłówniejszej kwestyi przy budowie miasta, o fundament do późniejszego rozwoju, o plan zabudowania.

„Plan zabudowania“ jest to pojęcie mimo swej wielkiej wagi większości mieszczan nieznane. A plan taki jest dokumentem, na dziesiątki lat obliczonym, który ustanawia prawidła do przyszłego rozwoju wyżej wymienionych nader wielostronnych kwestyj w interesie ogółu. Dobre plany zabudowania powinny być tak sporządzone, by choć w ogólnych zarysach można poznać przyszły podział w obrębie gminy na osobne okręgi, mające służyć bądź to specyalnie pracy (przemysł, handel, dworce, porty itd.), lub też przeznaczone na mieszkania; a i części miasta służące zarazem pracy i zamieszkaniu (np. dla rzemiosła) powinny powstać. Z góry ustanowić trzeba teren na ulice, place, parki, ogrody, a nie zastósowywać się do spekulantów, którym przy budowie chodzi tylko o zarobek. Co do kwestyi, czy budować na małym obszarze wysokie gmachy, czy też nizkie, lecz za to bardziej rozległe, okazało się w praktyce, że w centrum miasta stósownie do wysokich cen placu budowlanego najekonomiczniej budować w górę, w bardziej odległych dzielnicach na odwrót.

Przed stu laty, gdy poczta książąt na Thurn i Taxis była szczytem komunikacyi, miasta daleko od siebie odległe i skazane na siebie rozwijały się bardzo powoli, a że były ścieśnione wałami i murami, nie mogły się rozbudowywać. Lecz tej właśnie okoliczności zawdzięczamy, że w wielu miastach w miejscu dawnych fortyfikacyj posiadamy teraz wokoło miasta wspaniałe promenady i rozległe parki, a na dowód jak ważną częścią są właśnie plantacye w organiźmie miastá, dość wspomnieć, że ogrody nazywają płucami miast.

Miasta nowoczesne budowane pod zupełnie innym kątem widzenia. W Europie ruch w drugiej połowie 19-go wieku rósł gwałtownie. Wszędzie prawie rozszerzania miast okazały się konieczne, spowodowane po części budową lub rozszerzaniem dworców. Lecz żądza pieniędzy wycisnęła na tych miastach swe piętno. Budowano bez względu na estetykę, podług szablonu, dla zarobku. Hygiena bezwzględnie kroczy-

ła swą drogą niszcząc wszystko co stare, niejedno dobre tworząc. Jej zawdzięczamy zaopatrzenie miast w świeżą wodę, gaz, elektryczność, kanalizacyę etc. Ruch nowoczesny pomógł burzyć stare miasta. Domy, ogrody, parki, łąki, wszystko zniknęło. Linia prosta odniosła zwycięstwo i panowała czas jakiś wszechwładnie, aż wreszcie nuda i monotonność tego rodzaju budowy oburzyła wszystkich widzących. Ówczesne plany zabudowania były po części bardzo błędne. Place w kształcie gwiazdy były ideałem owych sztukmistrzów budowy miast, którzy wyznaczali przyszłe ulice w ten sposób, że jedną prościuteńką linią połączali dwa punkty.

Pierwszym był wiedeński architekt Camillo Litte, który na własną rękę wypowiedział wojnę temu oszpecaniu miast i zarazem krajobrazów. Lecz dopiero z końcem zeszłego stulecia przekonały się i dalsze koła, że można i ruchowi nowoczesnemu zadość uczynić i zarazem uczucia piękności uwzględnić, a przeświadczenie, że ulice w prostej budowane linii nie są idealne i różne wykazują wady, coraz szersze ogarniało koła.

To też dało pochop do tego, że z czasem zaczęto uważać miasta jako organizmy i coraz bardziej się zajmować ich „planem zabudowania.“ By przytem z wiedzy i idei fachowców módz korzystać, wiele miast — a między temi Berlin, Kopenhaga, Wiedeń, Stockholm, Antwerpia — obrało drogę współzawodnictwa mistrzów budowy. Dopiero dalsze opracowanie i zastosowanie idej zaczerpniętych z ich pracy do lokalnych stosunków pozostaje zadaniem administracyi miast.

II.

Kto się rozejrzy po dysseldorfskiej wystawie budowy miast, które jest właśnie rezultatem pracy ostatnich lat dziesiątek na tej niwie, temu podpadnie, że kwestya ruchu i komunikacyi tworzy jądro wystawy. Olbrzymiemi wprost rezultatami na tem polu mogą się poszczycić Amerykanie. Tak n. p. czegoś w guście kolei podziemnej przechodzącej pod trzema miastami: Brooklynem, Nowym Yorkiem i Jersey City i dwoma potężnemi rzekami, z których jedna jest już częścią morza, Europa nie posiada. Za to bardzo ciekawym jest tym razem europejski plan, dający pogląd na ulicę zastósowaną do nowoczesnych wymagań. Ulica ta jest 42 mtr. szeroka, a w samym środku leżą tory przeznaczone dla tramwajów elektrycznych. Po bokach dopiero są ulice dla ruchu wozów, automobilów itd., promenady i wreszcie trotoar. Jak korzystną jest taka budowa, nie trzeba chyba specyalnie wykazywać: zredukowanie hałasu i zgiełku ulicznego, mało wstrząśnień, zmniejszenie liczby nieszczęśliwych wypadków, prędka i skuteczna komunikacya. W środku ulicy, przeznaczonym dla kolei, nie potrzeba kłaść żadnych przewodników elektrycznych, rur gazowych i kanałowych, a przy ruchu z czasem szybko rosnącym przy zakładaniu kolei pospiesznych, podziemnych i ponad ziemią stosunkowo niskie tylko koszta z łatwością dają się pokryć. Jakie n. p. pod tym względem Berlin przy budowie swych kolei miał do zwalczania trudności i jak olbrzymie musiał ponosić koszta, znosząc całe kompleksy domów, jest ogólnie znane. A ruch Berlina z dnia na dzień rośnie; już dziś dochodzi na poczdamskiej ulicy do 150,000 osób na dzień.



Gmach dysseldorfskiej wystawy budowy miast.

Dwie porównujące tabele miast Berlina i Londynu wykazują, że Londyn w koleje pospieszne znacznie lepiej jest wyposażony, tak pod względem liczby pociągów dążących do centrum miasta jak i pod względem długości. Berlin posiada 27 km. kolei pospiesznych, Londyn zaś 229. Co do kolei podziemnych okazało się, że tylko w najgęściej zaludnionych częściach miast się opłacają.

Nad następną salą widnieje napis: „Parki, place do zabawy, planty i ogrody publiczne, kwestya mieszkań.“ Zaraz na początku wpadają w oko tabele wykazujące, że im dochody niższe, tem wyższe komorne, a im pomieszkania mniejsze, tem są droższe. Tak w Wrocławiu wynosiły ceny mieszkań w procentach od dochodu:

rok	dochód	procent dochodu	dochód	procent dochodu
1880	420 m.	28.9%	60,000 m.	3,4%
1900	420 m.	31,5%	60,000 m.	2,6%

Z drugiej statystyki wynika, że z polepszeniem mieszkań zmniejszył się znacznie procent śmiertelności dzieci, a śmiertelność w miastach ogrodowych jest o $^1/_3$—$^1/_4$ mniejsza niż w innych miastach.

Inne tabele wykazują, że zawsze jeszcze panuje ogólny brak placów do zabawy; tak Berlin posiada 10 hektarów, a powinien mieć 30. „Chłopiec bez placu do zabawy jest ojcem mężczyzny bez pracy“ opiewa w tej sali napis Józefa Lec, a w przeświadczeniu o słuszności tego zdania magistraty miast starają się coraz bardziej uzupełnić braki, wszyscy zaś nowsi mistrze budowy jedno wspólne przy swych projektach stawiają żądanie: wiele placów do zabawy i wiele ogrodów.

B. Ł.

(Dokończenie nastąpi.)

Swięto koleżeństwa.

(Patrz rycinę albumową).

Młodość! Ile czaru w tem krótkiem słowie, ile wspomnień!

Jej to prawem koleżeństwo, jej przywilejem być twórczynią najszczytniejszego związku serc i dusz pokrewnych: przyjaźni. Wyrasta ona jako najpiękniejszy kwiat bezinteresownych uczuć ludzkich. Z wspólnej pracy, z wspólnych dążeń, z wspólnych celów i ideałów początek bierze.

W późniejszem życiu robimy tylko... znajomości. Gorączkowa walka o byt, towarzyszące jej współzawodnictwo, troski i klęski dojrzalszego wieku — nie podatna to gleba dla delikatnej rośliny przyjaźni. A ileż to serdecznych związków rozrywa bezlitosna ręka życia! Coraz bardziej zamykają się ludzie w ciasnem kole swych egoistycznych interesów. Stosunki ze znajomymi, konwencyonalne pożycie towarzyskie głębszych, ser-

Z życia towarzyskiego rodaków w Poznaniu.



Klisza własność p. A. Gustowskiego, wydawcy „Kupca".

Poświęcenie resursy Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu.

W Towarzystwie Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu, należącem bez wątpienia do najżywotniejszych naszych Towarzystw, a liczącem 750 członków, nastąpiło dnia 21-go z. m. uroczyste poświęcenie nowych lokali tak zwanej „Resursy", wspaniale urządzonej, a znajdującej się przy ul. św. Marcina 68 Poświęcenia dokonał ks. kanonik Adamski.

Życzymy szczerze Towarzystwu Młodzieży Kupieckiej, by w nowej swej siedzibie rozwijało się nadal z jak największym pożytkiem dla kupiectwa i społeczeństwa naszego. Szczęść Boże!

deczniejszych wzruszeń nie daje. Niekiedy staje się niemal że ciężarem. Tak osamotnia ludzi życie, przygniata swym ciężarem. Pryskają złudne nadzieje jak bańki mydlane, blakną promienne ideały, a głowa, którą się kiedyś nosiło wysoko, siwizną przyprószona, coraz niżej chyli się ku ziemi pod twardnem jarzmem życia.

Ale serce człowiecze nie starzeje się tak rychło jak głowa, którą szron przyprószył. I, rzecz dziwna, im sędziwsza głowa, tem skwapliwiej ucieka człowiek sercem w świetlaną krainę przeszłości, tem chciwiej łowi jej przebrzmiałe echa, tem goręcej pożąda widoku starych przyjaciół i towarzyszów lat młodzieńczych uścisnąć pragnie.

Z takich to uczuć i tęsknot powstają zjazdy koleżeńskie, owe zgromadzenia ludzi, którzy ongi przed laty wspólnie na ławach szkolnych lub uniwersyteckich zasiadali i zwartą tworzyli społeczność koleżeńską.

Spotykają się tedy starzy towarzysze, których los zazdrosny na dziesiątki lat rozdzielił. Patrzą sobie w oczy jakby z rysów twarzy odgadnąć chcieli wzajemne dzieje. A ilu nie stawiło się na zjazd, bo im śmierć zamknęła oczy!

Taki to zjazd koleżeński odbył się w czwartek dnia 1-go września na białej sali Bazarowej.

Uczestniczyli w nim obok nielicznych gości byli członkowie byłych towarzystw akademickich wrocławskich, przedewszystkiem zaś członkowie najstarszego związku akademickiego „Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego przy uniwersytecie wrocławskim."

Zjazd rozpoczął się spotkaniem w lokalach restauracyjnych Domu Przemysłowego. Wieczorem o 7-mej rozpoczął się obiad w Bazarze.

Do stołu zasiadło 103 biesiadników. Pierwszą mowę wygłosił p. radca Ludwik Mizerski. Powitawszy przybyłych, zaznaczył, iż najstarszy akademik wrocławski 92 letni p. dr. Henryk Szuman nie mógł przybyć na zjazd z powodu słabego zdrowia, przeto prosi zebranych, by przewodniczącym obrali drugiego z rzędu najstarszego akademika wrocławskiego p. Erazma Parczewskiego z Belna. Sędziwy p. przewodniczący — p. E. Parczewski liczy 85 lat wieku, a 122 semestrów — podziękował za wybór i przewodniczył zebraniu do późnej nocy. Przemawiał też dwukrotnie, dziękując Komitetowi za urządzenie zjazdu, który zalicza do najszczęśliwszych chwil swego życia.

Poza tem przemawiali: p. dr. Erzepki, streszczając w krótkich słowach historyę Towarzystwa Sł. Lit. i wyliczając tych jego członków, którzy później zasłynęli w społeczeństwie ze zasług oddanych krajowi. P. mecenas Wyczyński zdawał sprawę z czynności komitetu organizującego zjazd. Prof. dr. Drygas toastował na górnośląskich kolegów, na który to toast ks.

dziekan Łukowicz w serdecznych odpowiedział słowach. Pan dyrektor Osten wzniósł zdrowie gości, p. dr. Ludwik hr. Mycielski wygłosił staropolski toast: Kochajmy się! Na cześć kobiet polskich przemawiał prof. Ciesielski ze Lwowa, drugi gość lwowski prof. Dembiński, jak również prof. Callier z Krakowa wypowiedzieli piękne mowy okolicznościowe.

Obok prozy nie brakło i poezyi. Tak p. dr. Leon Szuman wygłosił piękny toast rymowany i również w rymach zredagował p. dyrektor Kaczmarek humorystyczną „Poczwarę," i odczytał ją wśród wybuchów powszechnej wesołości. Na koniec przemówił w właściwy sobie kwiecisty i podniosły sposób p. dr. Gantkowski nagrodzony burzą oklasków.

Oczywiście, że i śpiew tak solowy jak chóralny pilnie uprawiano, a piękna gra na skrzypcach p. dra Jarnatowskiego przyczyniła się wielce do uświetnienia wieczoru.

Bawiono się ochoczo do późnej nocy. Nie zapomniano też o zebraniu składki — blisko 500 mk. — celem poparcia akademika kończącego studya na uniwersytecie wrocławskim.

Była to uroczystość podniosła ze wszech miar, krzepiąca ducha i serce. Zostawiła ona u wszystkich obecnych niezatarte wspomnienie.

* * *

Ponieważ Towarzystwo Literacko-Słowiańskie w dziejach naszej inteligencyi zawodowej, a przeto i dzielnicy, wielką odegrało rolę, przeto podajemy poniżej kilka ważniejszych szczegółów z jego historyi oraz notujemy kilkadziesiąt imion z Towarzystwem złączonych.

I tak celem przez Teofila Mateckiego r. 1836 założonego Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego było: przez wspólne naukowe prace, a mianowicie przez piśmienne rozprawy obeznać członków z językami, literaturą, dziejami i prawem ludów słowiańskich. Członkiem Towarzystwa mógł zostać każdy akademik wrocławski, byleby władał którymkolwiek językiem słowiańskim.

Jako opiekunowie Towarzystwa fungowali: prof. dr. Purkynê, pierwszy jego prezes i długoletni zasłużony protektor, następnie prof. dr. Gitzler, później prof. Cybulski, po tegoż śmierci powtórnie prof. dr. Gitzler, następnie prof. Władysław Nehring. Za prezesostwa dra Purkynêgo wybierali członkowie z swego łona seniorów. Byli nimi od r. 1836—1845: Matecki, Chosłowski, Anielewski, Tomicki, Ustymowicz, Berwiński, Cywiński i Górny. Później wybierano akademików jako prezesów. Byli nimi od r. 1845—1886: Ulkowski, Łyskowski, Karliński, Szulc, Sczaniecki, Nehring, Rzepecki, Warmiński. Bukowiecki, Rakowski, Laskowski, Pawlicki, Łebiński, Mizerski, Ruczyński, Zimmermann, Szymański, Zenkteler, Zielewicz, Cybichowski, Świtalski, Łabujewski, Krasnosielski, Chlebowski, Milewski, hr. Potocki, Stan. Lorkiewicz, Sikorski, Hulewicz, Danysz, Meissner, Iłowiecki, Popławski, Erzepki, Sypniewski, Krzyżański, Dembiński, Bobowski, Weber, Stawicki, Janicki, Łukowicz, Nowicki, Rakowski, Kąsinowski i Marten.

W pierwszych latach towarzystwa odbywały się posiedzenia raz na dwa tygodnie, później zbierano się raz, a w półroczu zimowym 1857—58 r. nawet dwa razy tygodniowo i to od r. 1855 począwszy w jednem z większych audytoryów uniwersytetu. Na tych to posiedzeniach wygłoszono z biegiem 50 letniego istnienia Towarzystwa 635 odczytów naukowych z najróżnorodniejszych gałęzi wiedzy.

Biblioteka Towarzystwa posiadała r. 1886 tj. przy zamknięciu Towarzystwa 2263 dzieł. Jako zasłużonych około biblioteki Towarzystwa bibliotekarzy wylicza Pamiętnik Jubileuszowy: Stanisława i Michała Sczanieckich, Wal. Gustowskiego i Jakóba Ruczyńskiego.

Staraniem dra Franciszka Chłapowskiego powstała r. 1873 w łonie Towarzystwa Sekcya Medyczna. R. 1878 założono Sekcyę Prawniczą. R. 1881 powstał Wydział Polsko-Filologiczny. Nareszcie r. 1883 stworzono Sekcyę Historyczno-Filologiczną. Sekcye te jednak nie istniały długo.

Liczba członków Towarzystwa wynosiła przy założeniu 20, roku 1862 było ich 41, r. 1885 aż 51. Przeciętnie jednak wahała się pomiędzy 20 a 30. Ogółem wszystkich członków liczyło Towarzystwo przez czas 50 letniego istnienia 907, wyszczególnionych po nazwisku w wydanym r. 1886 Pamiętniku Jubileuszowym.

Bądź to obok Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, bądź po jego rozwiązaniu istniały jeszcze inne polskie towarzystwa akademickie jak: „Czytelnia", „Kółko Towarzyskie Akademików Wrocławskich Narodowości Polskiej", „Towarzystwo Medyczne", „Czytelnia Dzieł Najnowszej Literatury Europejskiej", „Towarzystwo Hozyusza", „Kółko Filozoficzne", akademickie tow. Górnoślązaków i najmłodsza ze wszystkich „Konkordya".

Śmiało rzec można, że niemal wszyscy wybitniejsi mężowie nauki z naszej dzielnicy, o ile studyowali na wszechnicy wrocławskiej, byli członkami jednego z tych towarzystw, przedewszystkiem zaś Towarzystwa Lit.-Słowiańskiego, które szeregowało w swem łonie starszą generacyę naszej inteligencyi.

Wędrówka nad zatoką Biskayską.

Ciepły, słoneczny poranek! Zarzucam tłumok przez ramię i ostatniem spojrzeniem żegnam wysoką, piękną katedrę w Bayonne, znaną z swej starej, gotyckiej Drogi Krzyżowej. Potem mijam stary zamek i w cieniu platanów, otaczających drogę, idę do Biarritz.

Na drodze tej widziałem dużo kobiet jadących na osłach. Po obydwóch stronach długouchego wierzchowca zwieszały się kosze, napełnione produktami wsi. Ładny to był widok, lecz dziwne wózki Basków jeszcze mnie więcej zajęły. Do dwukolnych ogromnych „carriolów" zaprzęgają tam parę wołów, których grzbiety pokrywają kawały mocno ściągniętego płótna. Głowy giną formalnie w długich kudłach, woźnica zaś, w okrągłej, płaskiej czapce, popędza woły długim, cienkim prętem.

Ziemia tu jałowa i piaszczysta, z tem większą zatem przyjemnością spoczywa oko na krajobrazie, widniejącym w dali. Są to łańcuchy gór Zachodnich Pirenej, na granicy francusko-hiszpańskiej, ciągnących się aż do morza. Tu wznosi się Monte Jaizquibel (598 metr. wys.) i zdaje się wychodzić wprost z zatoki. Z większą nieco pochyłością na lewo łączy się szeroka stosunkowo płaszczyzna gór, na której idzie kolej do San Sebastian. Łańcuch ten kończy się na stronie północno - wschodniej wysokim wierzchołkiem francuskiej Rhune (900 metr. wysokości).

W pobliżu wioski Bidart nabiera krajobraz przyjemniejszego charakteru; są tu pagórki, przepyszne pastwiska i liczne stada bydła z przywiązanemi do szyi dzwonkami. Obok żyznych łąk widać zagony kapusty, buraków i wszelkiego warzywa, a liczne drzewa owocowe, sadzone kępami na pagórkach, drogi otoczone drzewami lub żywopłotem, kończącym się zwykle na podwórzu pojedyńczo stojących gospodarstw — w dali piękne tło gór — wszystko to nadaje całej okolicy dużo uroku. Gdyby tylko nie te czarne,

dymiące potwory, wzniecające tumany pyłu! Jak złe duchy pędzą automobile środkiem drogi i prawdziwą są plagą dla otoczenia francuskich wód morskich.

Za kościołem w Bidart wiedzie droga na dół, lecz zaraz potem trzeba znów iść pod górę do Guethary, gdzie na małem wzgórzu piękny stoi kościół. Prześliczny ztamtąd roztacza się widok na lśniące morze, barwne łąki, pola i zielone wyżyny kończyn Pirenej. W kościele widać zaraz, że to budowla baskijska: po obydwóch stronach nawy są trzy wązkie drewniane galerye, jedna nad drugą. Miejsca na galeryach przeznaczone są wyłącznie dla mężczyzn, podczas kiedy kobiety siedzą i klęczą na dole. Bezpośrednio poniżej kościoła stoi plebania.

Około godziny drugiej stanąłem w najważniejszej miejscowości właściwego francuskiego terytoryum Basków; w S. Jean-de-Luz. Jest to małe, ciche miasteczko o 4300 mieszkańcach, ma jednak port i znane jest jako „wody morskie.“ W czasach średnich i później jeszcze, było tu więcej ruchu i życia, mianowicie dopóty, dopóki w zatoce Biskaya dużo się wielorybów znajdowało. Wówczas, od 12—17 stulecia, było S. Jean-de-Luz głównem siedliskiem baskijskich łowców wielorybów i liczyło 12,000 mieszkańców. Później, w miarę ubywania pożądanych potworów morskich, byli myśliwi zmuszeni jeździć aż na Islandyą, Grenlandyą i Spitzbergen. Ostateczny zanik wielorybów i zarazem straszna gwałtowność fal morskich w tym właśnie burzliwym kącie zatoki, pochłaniających często całe części miasta i niszczących najsilniejsze groble, były powodem upadku miasteczka. W roku 1863 wzniesiono jeszcze silniejsze tamy i groble i, jak dotychczas, fale morskie nie zdołały ich zniszczyć. Przy końcu jednej z największych grobli, po za wieżą zaopatrzonym Fort Socva, znajduje się bezpieczna przystań dla okrętów.

Droga wiedzie tu koło największego kościoła, poświęconego św. Janowi Chrzcicielowi. Zbudowany w 13-tym wieku, ma także charakter wyłącznie baskijski, mianowicie na wewnątrz. Jest to jedna, jedyna tylko nawa, nad którą wznosi się sklepienie w kształcie beczki. Mały, ładny żaglowiec wisi u stropu. I tu widzimy tak jak w Guethary trzy wysokie, drewniane galerye. Koniec trzeciej galeryi znajduje się w tej wysokości, w której zaczyna się sklepienie. Na chór wiedzie 12 schodów. Wielki ołtarz, błyszczy złotem i ma kilka niż, w których stoi 20 figur świętych, zupełnie na sposób hiszpański. W tym kościele odbył się dnia 9-go czerwca r. 1660 ślub Ludwika XIV. z hiszpańską infantką Maryą Teresą. Książęce te osoby przypominają jeszcze dwa świeckie gmachy w miasteczku: Maison Louis XIV. z 16-go stulecia na placu tego samego nazwiska i Maison de l'Infante z 17-go stulecia, ozdobiony wieżami i arkadami od strony portu. W Maison Louis XIV. mieszkał młody król po ślubie wóczas, kiedy jeszcze Mazarin sprawował rządy państwa.

O pół do 4-tej przeszedłem przez rzekę Nivelle, której wody, wypływające z Pirenejów dosięgają zatoki z lewej strony miasta. Dalej wiedzie droga przez Ascain na wysoki grzbiet Rhuny, lecz trzeba iść tam blizko cztery godziny. O posiadanie Rhuny walczyli w roku 1813 Francuzi z zwycięzkimi Hiszpanami pod dowództwem Wellingtona. O pół do 8-mej nareszcie zasiadłem szczęśliwie za ładnie nakrytym stołem w małym hotelu Mouinscot przed główną bramą Fuentarrabii.

Następny poranek poświęcony był głównie zwiedzaniu małego miasta. Fuentarrabia, w języku Basków Ontarradia, należy do hiszpańskiej prowincyi Guipurcoa i ma 4300 mieszkańców. Śliczne położenie miasteczka można podziwiać najlepiej i najwygodniej z platformy starego, zapadłego zamku. Większa część domów leży malowniczo na lewej stronie Bidassoy, środkowa zaś część miasta, z kościołem i zamkiem, zajmuje mały pagórek po prawej stronie rzeki. Przedmieście „Magdalena“ składa się przeważnie z łazienek i domków dla gości kąpielowych. Za miastem ciągnie się pasmo wązkich, nierównych pagórków.

Fuentarrabia nosi dziś jeszcze ślady znaczniejszej przeszłości. Długi czas było to miasto twierdzą graniczną, czego dowodzą liczne szczątki murów na pagórkach za miastem. I teraz nawet, chociaż w mniejszych rozmiarach, służy korzystne położenie tej miejscowości do rozmaitych wojskowych celów. Zamek , Palacio de Carlos V., z którego na wpół zapadłej wieży na całą patrzymy okolicę, wywiera zawsze jeszcze, pomimo, że tylko już jest ruiną, wrażenia potężnej warowni. Najstarsza część zamku, nad rzeką, pochodzi podobno z 12-go stulecia. Głęboka cisza panuje na wewnętrznym dziedzińcu, otoczonym bluszczem porosłemi łukami i otwartemi gankami. Jak starożytny zamek wygląda też prawie stojący obok gotycki kościół, gdyby nie górna część sklepionego dachu, kończącego się ładną, wysmukłą wieżą, która wskazuje na świątynię. W każdym razie wygląda przybudowana zakrystya zupełnie jak forteca. Wnętrze kościoła jest w stylu barokowym hiszpańskim—ołtarze są piękne i dużo mają ozdób złotych. Po obydwóch stronach wielkiego ołtarza znajdują się stare i bardzo podobno wartościowe rzeźby na drzewie, z lewej zaś strony nawy wisi wspaniały krucyfiks z 13-go stulecia. Najpiękniejszą jednak ozdobą kościoła jest cudowna figura Matki Boskiej Różańcowej w koronie i kosztownym płaszczu, trzymającej na lewej ręce Dzieciątko Jezus.

Zamek, kościół, ulice, główna brama, szczątki murów fortecznych — wszystko to tworzy piękną i zajmującą całość; stare to i ładne gniazdo graniczne wywiera z swoją hiszpańską architekturą i ludnością baskijską na cudzoziemcu większy urok, niż większe i modniejsze San Sebastian.

Około jedenastej przed obiadem poszedłem dalej. Najbliższym celem mej wędrówki była kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej z Guadalupe na podnóżu góry Jaizquibel.

Maleńki ten kościołek o płaskim, tępym szczycie i bardzo stosunkowo małych oknach, wygląda jak dom prywatny, lecz i tu oznacza świątynię wieżyczka, wysmukła i spiczasta i mały, owarty przedsionek. Skromne, lecz ładne wnętrze ma tylko jedną ławkę. Całą ścianę północno-wschodnią zajmuje bogato złocony ołtarz z wspaniale przybraną figurą ciemnej Madonny z Panem Jezusem. Znajdują się tam też jeszcze inne figury świętych, z których najładniejsze są św. Józefa i św. Michała. Na wspomnienie zasługuje także olbrzymi świecznik, urządzony do światła elektrycznego i dwa małe okręty, jeden parowiec, drugi żaglowiec, które zawieszone są u sufitu.

Szklanka wybornego wina kupionego u kościelnego do dalszej pokrzepiła mnie drogi.

Po dwugodzinnym marszu stanąłem na najwyższym szczycie góry Jaizquibel (548 metr.). I tu wznosiła się niegdyś twierdza, fuerte Enrique — dziś zupełnie zniszczona i zapadła ruina. Został tylko jeszcze odłam muru, otaczającego warownią. Ale widok ztąd jest zachwycający. Na północ i północny wschód: — błękitny płaszcz oceanu, ożywionego tu i owdzie białemi, lśniącemi punktami, żaglowcami Basków.

O strony północno-wschodniej do południowo-zachodniej: Fuentarrabia i Hendaye, biało-piaszczyste ujście rzeki Bidassoy z czerwonożółtą skałą mor-

ską Hendaye la Plage — dalej przystań St. Jean de Luz, Biarritz z jasno świecącą latarnią w blizkości wysoko położonego hotelu Regina, rozległe wybrzeże morskie, na prawo od Biarritz część Bayonny, którą poznać łatwo po wytwornych wieżach katedry, ładne, wczoraj już zwiedzane pagórki, Irun i Reuteria w zielonych dolinach Bidassoy i Oyarrun, porozrzucane pojedyńcze gospodarstwa, lasy, ogrody owocowe, w dali olbrzymie Pirenee i lasem porosłe szczyty gór kantabryjskich; na stronie zachodniej: część Pasajes z piękną, lecz niedostępną zatoką, dalej San Sebastian z wieżą Igueldo, a w niknącej już dali wybrzeża prowincyi Guipurcoa i Biscaya, obfitujące w zatoki i lasy. Wszystko to jest cudnym obrazem w blasku słońca południowego, na którym ogromne obszary łączą się doskonale z rzadkiem bogactwem pięknych form i barw.

Po dłuższym czasie uległem niestety namowom kilku wieśniaków i zeszedłem z lewej strony z góry. Była to rzecz niezmiernie mozolna i uciążliwa — góra była tu stroma, kamienista, a słońce piekło nielitościwie. Szedłem potem przez pola, płoty i rowy i nareszcie, przy ogromnej lejarni ołowiu stanąłem znów na właściwej drodze. Niedługo ujrzałem Pasajes, miejscowość bardzo przemysłową, mającą 3000 mieszkańców. W zatoce zamkniętej górami i ciasne mającej przejście, przypominającej kształtem i otoczeniem jeziora alpejskie, znajdowało się dużo parowców i innych statków. Tu wsiadł na okręt w roku 1776 Lafayette i popłynął do Ameryki. Obok tramwaju szedłem drogą, otoczoną pięknemi wilami koło góry Ulia (300 metr.) do San Sebastian. Miasto zaczyna się z tej strony przedmieściem de Gros, pełnem fabryk i zamieszkałem wyłącznie przez robotników. Blizko drogi znajduje się na dosyć wysokim pagórku, przytykającym do Monte Ulia, obszerna, trzypiętrowa arena, mająca miejsce dla 13,000 osób. Ztamtąd widzieć można blizko położony ładny kościół San Ignazio. Przeszedłszy przez most de Santa Catalina wiodący przez rzeczkę Urumea tuż przed ujściem jej do zatoki, wchodzimy natychmiast w szeroką, drzewami otoczoną Avenida de la Libertad, graniczącą z drugiej strony z sławną Conchą. W pobliżu tej ulicy, prawie w środku miasta można dostać tanie i wygodne mieszkanie.

Po pięknym dniu równie piękny nastąpił wieczór. W świetle licznych kandelabrów błyszczała woda zatoki, jasno i świetnie odcinał się wysoki gmach kasyna na ciemnem tle nieba, z gór wiał chłodny wietrzyk, miliony gwiazd świeciły na firmamencie, za białemi, przejrzystemi chmurkami płynął srebrnobiały księżyc, a z tem wszystkiem łączyły się dźwięki muzyki i szum fal, rozbijających się o brzeg: była to „włoska noc“ pod hiszpańskiem niebem!

Następnego dnia chodziłem długo po ulicach stolicy Guipurcoas. San Sebastian ma 38,000 mieszkańców i ładnem i zajmującem jest miastem. Byłoby jeszcze ładniejszem, gdyby nie było ucierpiało tyle z powodu częstych wojen. W roku 1813 spaliło się prawie całe miasto z wyjątkiem Calle del 31 de Agosto. Pożar ten wywołany został napadem Anglików na Francuzów, w których posiadaniu miasto się wówczas znajdowało. W cieniu Monte Urgull otaczają stare jeszcze domy baskijskie obydwa kościoły: San Vincente w stylu gotyckim z początku 16-go stulecia, i Santa Maria, w stylu baroku, z połowy 18-go stulecia. Kościół San Vincente jest tak ciemny, że nie można nic w nim widzieć, pomimo, że nawet i we dnie pali się tam kilka lamp elektrycznych. Oryginalnym jest w środku miasta kwadratowy plac Konstytucyi. Z prawej i lewej strony są dwa łuki, pod któremi tylko można wejść na plac, otaczające go zaś domy mają arkady i balkony na wszystkich piętrach o numerowanych oknach; jest to pamiątka po odbywających się tu dawniej walkach byków.

Bardzo pięknym jest nowy gotycki kościół del Buen Pastor w Nowem mieście — pięknemi i cienistemi są promenady, imponującem zaś jest wielkie Casino z dwoma wieżami, w którem zbiera się najwytworniejsze towarzystwo z San Sebastian. Pięknem jest piaszczyste, lekko do morza pochylone wybrzeże, pięknym jest nowy most „Marya Krystyna,“ chociaż może zanadto przeładowany ozdobami, lecz najpiękniejszem jest położenie miasta. Widok z Monte Igueldo przekonuje nas o tem. Okrążamy „Muszlę“ w kierunku północno zachodnim, przechodzimy przez tunel, widzimy skromny wiejski dom króla hiszpańskiego i park, i po za więzieniem wchodzimy na górę, z której roztacza się widok tak piękny, że trudno pewnie znaleść piękniejszy!

Pomiędzy zielonemi pagórkami, sterczącemi górami i dwiema błękitnemi zatokami, leży miasto. Większa część domów obejmuje okrągłą Conchę (Muszlę), na której lazurowej powierzchni igrały promienie słońca; miasto ciągnie się na płaskiej półwyspie aż do stóp Monte Urgull (135 mtr.) Za tą półwyspą rozszerza się wybrzeże i Bai de Zurriola, tak zwany basen Uranny, który dzieli terytoryum dworca północnego i przedmieście de Gros od reszty miasta. Pomiędzy Urgull i Igueldo, prawie na linii granicznej morza, leży maleńka wysepka Santa Clara.

W około tego wszystkiego nieskończony Ocean — z jednej tylko strony błękitną mgłą spowite szczyty gór kantabryjskich. Przepiękny kawałek ziemi!

Dziewcze pokochało.

(Odpowiedź na wiersz „Chłopiec pokochał“ zamieszczony w „Pracy“ dnia 4-go września r. b. Nr. 36, strona 1138).

Gdy chłopiec kocha dziewczynę
I do jej serca się wkradnie,
Ona miłością tą żyje,
Uczucia nie kala zdradnie.
A gdy już serca jej pewny
I wzajemności kwiat dzierży,
Wnet miłość jego zastyga,
Sam w swe uczucia nie wierzy.
Mijają dni i miesiące,
Coś mu dolega na świecie,
Serce i pamięć zanika,
O ukochanej kobiecie!
I zamiast szczęścia iść drogą
Cofa się z grzecznym uśmiechem,
Nie myśląc wcale że zdrada
Śmiertelnym często jest grzechem.
I chociaż widzi łzy rzewne,
Już nie pożąda jej rączki,
Lecz bohatera ma minę,
Co ślubnej nie dał obrączki. —
Upływa znowu czas jakiś,
On zmienia swe sentymenta,
Ani o dziewczę się spyta,
Czy jeszcze jego pamięta...
I czy ten zawód przedwczesny,
Nie złamał życia dziewczynie,
Któżby się o to dziś troszczył?
Stałość — to blaga jedynie!!!
Najczęściej żeni się panicz,
Z dawniejszej „flamy“ się śmieje,
A dziewczę płacze w ukryciu,
I z bólu nieraz szaleje.
A gdy się zdarzy odwrotnie,
(Co w życiu rzadko zachodzi),
Chłopiec się szybko pocieszy,
Niebawem zło wynagrodzi...
Ztąd morał taki wynika,
Niech dziewczę chłopca nie pieści,
Nie zrosi oczów swych łzami,
Uniknie wielkiej boleści!

Ród męski dziwne ma prawa,
Ustrój sercowy zwodniczy,
Kto jeszcze dzisiaj mu wierzy,
Do niemowlątek się liczy!

Poznań, d. 4. 9. 1910.

Marja.

Przędza Matki Boskiej.*)

Przędza Matki Boskiej. *)

Gdy chłodna jesień, poprzedniczka zimy, rdzawić zaczyna swojem tchnieniem kwiaty i zwiędłe liście już z gałęzi strąca, Najświętsza Panna przez nadziemskie światy płynie w obłokach, blaskiem promieniąca..

I wonczas niebu znów przybywa krasy; zda się, że słonko w letnią kolej wraca, spłowiałe łąki, poczerniałe lasy swojem spojrzeniem czarownem wyzłaca.

Królowa niebios płynie, jako prządka i zamiast berła porosłą kądziel trzyma; zanim z obłoków spadnie biała zima, Ona, jak macierz dbała o dzieciątka, idzie policzyć duszyczki niebogi, co się pod Raju ogrodzeniem tulą i upatrują smutne jakiej drogi, aby do niego wcisnąć się ukradkiem i choć najlichszym wyrosnąć tam kwiatkiem.

Wstępu im bowiem do Raju nie dają, jeśli pomarły nie ochrzcone jeszcze i pierworodny grzech je dotąd plami, więc za rajskiemi kulą się wrotami i drżące z zimna wyczekują łaski:

Dla nich to Marya, Pani litościwa, cienką nić przędzie, a z tego przędziwa anioły potem tkają giezła miękkie i rozwieszają one na błękicie, niby na polu płótna bieluteńkie, by zmarłe dzieci miały z nich okrycie.

Także sierotkom nagim, opuszczonym, Mateńka Boża swej pracy nie skąpi i w dnie jesienne na obłokach przędzie.

Więc drżącym dziatkom w zimie ciepło będzie..

Błogosławionaś Ty niebios Panienko, Pani litośna i litości wzorze!... gdy przez niebieskie przepływasz przestworze, by pracowicie snuć swą nitkę cienką, i widzisz z góry, z tronu obłocznego, że tu na ziemi serca niepamiętne na ludzką nędzę patrzą obojętne, — Ty Miłosierna znieść nie możesz



Piotr Stachiewicz. **Przędza Matki Boskiej.**

tego, zrywasz garść przędzy i rzucasz ją na dół, jak upomnienie swe na ziemski padół, a wiatr ją nosi w powietrzu i snuje, przed oczy ludzi zwija i rozwija i zda się splatać w tajemnicze głoski:

„Otom ja przędza samej Matki Boskiej!.. dla biednych sierot snuję się z kądzieli, pomnijcie ludzie, byście litość mieli i tu sierotkom nie szczędzili serca!..“

I cienka nitka z zaziemskiego świata, co tam od nieba aż ku ziemi sięga, około ludzi sama się oplata i z sobą serca miłosierne sprzęga, a że ją Matka Boska miała w ręce, więc jak talizman szczęścia z niebios spływa; — kogo się czepi choć cząstka przędziwa, ten polecony Najświętszej Panience w dniu onym z ducha pogodniejszym bywa i takim jedna choć chwila szczęśliwa zdarzyć się musi w ciągu doby całej.

Gdy babie lato uśmiechnie się światu, zaraz się jaśniej człowiekowi robi i wśród jesieni ma wiosenne złudy; zanim zimowe obsypią go grudy, raz jeszcze w słońcu rzeświejszy się czuje...

---

*) W niniejszym numerze zamieszczamy trzecią przepiękną legendę o Matce Boskiej ś. p. Maryana Gawalewicza, zmarłego w czerwcu b. r., zilustrowaną przez Piotra Stachiewicza. Pierwszą legendę zamieściliśmy w numerze 24-ym, drugą w numerze 27-ym. — Przyp. Red.

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości beletrystyczne.

Jeży Żuławski: Zwycięzca. Kraków 1910. Nakład G. Gebethnera i Spółki. Warszawa — Gebethner i Wolff. — *Gabryela Zapolska: Kaśka—Karyatyda.* Warszawa—Kraków 1910. Gebethner i Wolff. — *Eugenia Żmijewska: Z pamiętnika niedoszłej literatki.* Warszawa—Kraków 1910. Gebethner i Wolff. —

Tytuł nowego utworu *Jerzego Żuławskiego* brzmi *„Zwycięzca“*. Co przynosi nam ta powieść stanowiąca część drugą trylogii p. t. „Na srebrnym globie?“ Otóż rzecz dzieje się na księżycu, mowa tu o Starym Człowieku, który, jak o tem już wiemy z pierwszej części tej trylogii („Rękopis z księżyca“), przywiódł ludzi z ziemi na księżyc, o Zwycięzcy, którego lud księżycowy po śmierci Starego Człowieka z upragnieniem oczekuje, gdyż ma on — podług księżycowej legendy — przyjść „z międzygwiezdnych przestrzeni“ jako odmłodzony Stary Człowiek w tym celu, aby wyzwolić drobne pokolenie ludzi na księżycu, jęczących od siedmiuset lat w jarzmie wrogiej przemocy. Zapoznajemy się tu z Bractwem Wyczekujących, z Bractwem Prawdy, z arcykapłanem Malahudą, ze złotowłosą Ihezal, jego wnuczką, z chytrym Elemem, przełożonym zakonu Braci Wyczekujących, czytamy o pierwobylcach na księżycu, o skrzydlatych potworach „szernach“, gnębiących skarłowaciały lud księżycowy, dalej o „morcach“, potomstwie szernów i kobiet księżycowych itd.

Cóż to za dziwne postacie, jakaż osobliwa historya? Ale idźmy dalej. Zjawia się na księżycu człowiek jasnowłosy, przenoszący wzrostem dwakroć ludzi księżycowych, a przybywa w ognistym, sztucznie zbudowanym wozie — pocisku. Przybysz ten nie jest owym legendowym Starym Człowiekiem, który odszedł rzekomo na ziemię (a który „w rzeczywistości“ zmarł przed siedmiuset laty na księżycu na bezpowietrznej pustyni). Jest to Marek, śmiały podróżnik, nie wiedzący nic o tem, że od tylu już wieków oczekują na księżycu Zwycięzcy, dokąd on dostał się zupełnie przypadkowo. Dziwi się bardzo, że to on ma być tym Zwycięzcą i że w nim lud takie wielkie nadzieje pokłada. Ale żal mu zburzyć tę dziecięcą wiarę, więc obiecuje swoim współbraciom poświęcić podczas swej bytności na księżycu wszystkie siły dla ich dobra, a przedewszystkiem wyruszyć przeciwko „szernom“ i ratować ujarzmiony kraj. Wziąwszy rolę Zwycięzcy na siebie, stacza dzielny Marek ciężkie walki z szernami, a pozatem stara się pod każdym względem polepszyć byt mieszkańców księżyca. Pragnąc naprawić ustrój społeczny zaprowadza nowy porządek życia na księżycu, głosi swobodę, propaguje miłość i... oburza na siebie lud, wobec którego miał najszczytniejsze zamiary. Nowatorstwo jego pada na grunt nieodpowiedni. W końcu posądzony o złą wolę i cele samolubne ponosi śmierć męczeńską, zadają mu ją ci, których pragnął uszczęśliwić...

Treść „Zwycięzcy“ istotnie jest niezwykła, jest wytworem bujnej wyobraźni autorskiej, ale wyobraźni zdolnej do wysokich lotów w dziedzinie twórczej. Właśnie ta okoliczność, że w tę fantastyczną materyę potrafił autor wlać życie i nadać wypadkom, o których czytelnik wie z góry, że są zgoła niemożliwe, cechy prawdy i grozy dramatycznej, jest dowodem wielkiego, niepowszedniego talentu. Ta „bajka“ urasta na tragedyę bytu ludzkiego. Filozoficzny podkład powieści, prawda psychologiczna, oraz dość przejrzyste aluzye składają się na całość przewyższającą znacznie zwykłą produkcyę beletrystyczną. Żuławski jest w „Zwycięzcy“ daleko głębszy, niż liczni obcy autorzy powieści fantastycznych (Verne, Wells, Morris, Galopin itd.), którzy nie dorównywają także naszemu poecie pod względem siły obrazowości, oraz pod względem polotu poetyckiego. Dodać jeszcze musimy, że „Zwycięzca“ czyta się od początku do końca z wielkiem zaciekawieniem. — —

Wielce to zaszczytnie dla powieści *Gabryeli Zapolskiej* p. t. *„Kaśka — Karyatyda“*, że ukazuje się świeżo — chociaż upłynęło już z górą lat dwadzieścia od czasu jej powstania — w nowem wydaniu. Powieść ta nie utraciła istotnie z biegiem lat nic ze swej aktualności; nie zmniejszyła się też jej wartość. Gdy „Kaśka“ pojawiła się po raz pierwszy (w r. 1887-ym), wywołała konsternacyę pośród czytającej publiczności. Tak śmiało nie poruszano bowiem jeszcze nigdy w literaturze naszej kwestyi bieżących o tak drażliwym podkładzie. Po raz pierwszy odważyła się na to kobieta! Posądzano Zapolską o chęć wzbudzenia jedynie sensacyi. Niesłusznie. Nie wiedziano poprostu, z jakimi zamiarami Zapolska wstępuje w szranki literackie, zwłaszcza, że pierwsze jej próby, krótkie szkice i obrazki, wydane wraz z rozgłośną „Małaszką“ w tomie p. t. „Akwarelle“, raziły sztucznym naturalizmem. Dziś, gdy znane są zasługi Zapolskiej na polu piśmiennictwa, gdy zawdzięczamy jej dużo dzieł stworzonych z głęboką wrażliwością na nędzę ludzką, dziś nie znajdzie się już nikt, ktoby powątpiewał o dobrych zamiarach autorki, nikt, ktoby nie rozumiał, że jeżeli porusza ona rzeczy zazwyczaj przez innych pisarzy pomijane, to nie nizka sensacya kładzie jej pióro do ręki, lecz ból nad krzywdzonemi istnieniami. Dziś też, gdy wiemy o tem wszyscy, że Zapolska spisuje to, co jej się wgryzło w serce nędzą swoją“, mogłaby się „Kaśka—Karyatyda“ obejść spokojnie bez przedmowy, w której autorka tłomaczy się ze swoich intencyi w myśl Krasickiego: „Pisz, coś widział — Poczciwość prawdy się nie lęka“. Dawniej przedmowa ta była nieodzowną, chociaż z pewnością nie zdołała przekonać zaciętych.... wyznawców pruderyi. A przecież racyę zupełną ma autorka twierdząc, że los istot takich jak Kaśka to nie kał, nie brud, lecz prawda tak wielka, że jak promień słońca przedziera się przez tajemniczą zasłonę, jaka fałszywi poczciwcy osłonićby ją chcieli.

Niedolę biednej Kaśki, służącej, nieświadomej dziewczyny z ludu, walczącej w atmosferze wielkomiejskiej z pokusami świata, upadek jej i smutny koniec, przedstawiła Zapolska z wielkim realizmem, grzeszącym może nieco jaskrawością w szczegółach, ale nie przekraczającym nigdzie granic estetycznego smaku. A chociaż w stosunku pani do sługi niejedno już od czasu, gdy powieść ta napisana została, zmieniło się nietylko u nas, ale i u wszystkich społeczeństw na lepsze, to jednak to, co w książce Zapolskiej znajdujemy, bynajmniej nie jest przestarzałe, gdyż i dziś jeszcze twarda dola „Kasiek“, o których dobro duchowe i fizyczne chlebodawcy zupełnie się nic troszczą, niestety nie należy do wyjątków. W powieści tej podziwiać musimy nadzwyczaj trafną obserwacyę życiową i nader konsekwentnie przeprowadzony proces duchowy nieszczęsnej bohaterki, a podziwiać tem więcej, że, jak już napomknęliśmy, utwór ten powstał w samem zaraniu działalności literackiej naszej autorki. Zapał, z jakim Zapolska podnosi tu szczery głos w obronie krzywdzonych przez los i otoczenie kobiet wywiera bardzo dodatnie wrażenie, a bezbrzeżny smutek, jakim przepełniona jest jej powieść, udziela się silnie czytelnikowi i wstrząsa go do głębi.

Utwór swój przeznaczyła Zapolska oczywiście tylko dla czytelników dojrzałych, ci też jedynie zdołają ocenić należycie jej intencye. Uczyniwszy to zastrzeżenie, nie wahamy się powtórzyć za autorką: „Poczciwość prawdy się nie lęka, więc śmiało, Czytelniku lub Czytelniczko, zajrzyj do tych nędz wielkich, do tych nieszczęść kończących się zbrodnią... Nie bój się, kobieto, czytaj śmiało karty tej powieści, kał nie dotknie twej białej szaty, bo tylko brud lgnie do brudu, a chorzy boją się ran swoich.“ — —

Kilka słów jeszcze pragniemy poświęcić książce *Eugenii Żmijewskiej* p. t. *„Z pamiętnika niedoszłej literatki“*. Gdyby nie to, że Żmijewska jest autorką „Płomyka“ i „Doli“, dwóch powieści cieszących się znacznem i zasłużonem powodzeniem, to kto wie, czy króciutkie utwory zawarte w tym tomie byłyby dostąpiły zaszczytu wydania książkowego, a nie pozostały rozrzucone po gazetach i tygodnikach. Stało się dobrze, że obrazki te zebrano w jedną całość i że tym sposobem uratowano je od zapomnienia, gdyż z punktu widzenia artystycznego nie ustępują one bynajmniej wspomnianym dopiero co powieściom „Płomykowi“ i „Doli“, powiedzielibyśmy nawet, że je pod względem czysto literackim przewyższają. Rzeczy te napisane barwnie i z życiem zalecają się subtelną obserwacyą (zwłaszcza świata redakcyjnego), oryginalnością tematów, różnorodnością figur i typów, zdrowym humorem i zacięciem satyrycznem. Najprzedniejszą atoli zaletą tych nowel jest ich bezpretensyonalność spozierająca ku nam na każdym kroku; ujawnia się ona także w prostym, niewyszukanym stylu autorki,



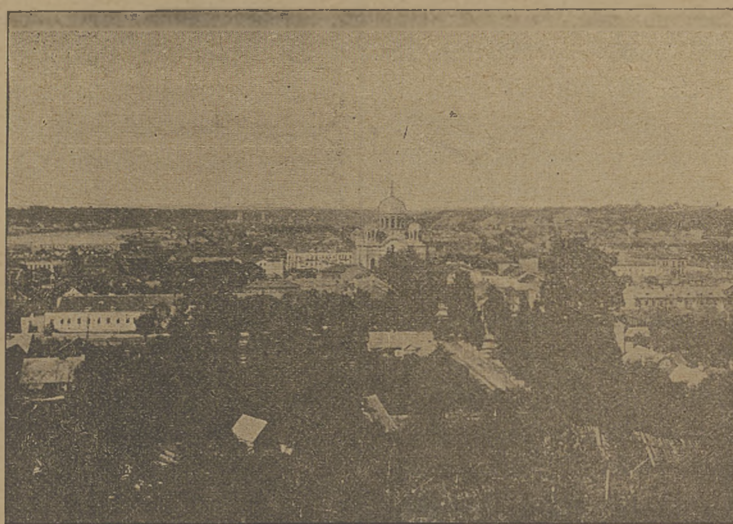
Album „Pracy“.

Uczestnicy Zjazdu koleżeńskiego byłych akademików wrocławskich.

Drukiem „Pracy“.

Z ojczystych stron.

ZABYTKI KOWNA.



Ogólny widok Kowna.

Co rok letnie miesiące ściągają na Litwę sporo osób z różnych stron kraju. Kowno, stary gród nadniemeński, obecnie liczące około 80,000 mieszkańców, położone u ujścia Wilii do Niemna, a oddalone o parę wiorst od bystrej rzeki Niewiaży, która oddziela Żmudź od Litwy, niejednego zatrzymuje na kilka dni w swych murach dla zwiedzenia jego zabytków.

Położone w najpiękniejszej dolinie, z domkiem, gdzie wieszcz mieszkał i tworzył, z doliną, noszącą dziś jego imię, z pobliską Wilią, gdzie wśród „tulipanów i narcyzów“ błąkając się myślał o straconej dla siebie Maryli, wspominał o swem dzieciństwie „sielskiem anielskim“ i czerpał natchnienie do II i IV części „Dziadów“, gdzie powstały niezrównane ballady i „Oda do młodości“, posiada wiele czaru i budzi wspomnienia przeszłości.

Najwięcej zabytków znajduje się w dzielnicy Starego Miasta, w której pierwsze domy murowane powstały za czasów Witolda, a dom mylnie obecnie, nazywany świątynią Perkunasa, jest jego dziełem, wybudowanym jako śpichlerz. Kościoły są przeważnie ze złotej epoki Jagiellońskiej, z olbrzymim gmachem poaugustyńskim, obecnie katedra z godną widzenia dość obszerną kaplicą gotycką i freskami Andriollego. W murach pojezuickich lokowało się 6-cio klasowe gimnazyum, w którem Mickiewicz wykładał historyę i literaturę. Szkoła ta trwała do roku 1831, kościół zaś zamieniono na sobór prawosławny.

Nad Niemnem znajduje się dobrze jeszcze zakonserwowany dom, ówczas bogatego kupca Hechela, w którym lokował się ze swymi adjutantami Napoleon. W roku 1831 Kowno było jednym z główniejszych terenów walk oddziałów powstańczych z regularną armią rosyjską. Dnia 10-go czerwca gen. Malinowski, uderzył na miasto, w którem się rozpaczliwie broniło 600 żołnierzy pod wodzą Kiernickiego i Prozora. Po uciążliwej walce zostali wzięci do niewoli. Emilia Platerówna zaś wypadkowo ocalała. Rok 63 był świadkiem gorących manifestacyj i uroczystości na Niemnie, bratania się Korony z Litwą, a młodzież szkolna rzuciła zakłady i przyłączyła się do oddziałów ks. Maćkiewicza i Raczkowskiego. Obu tych dowódców w sutannach oraz Korejwę, Waszkiewicza, Białozorłozora i Wróblewskiego rozstrzelano pod Górą Piotrowską, przy obecnej ul. Kurowskiej, gdzie dziś mieści się straż ochotnicza ogniowa i dom dra Martusewicza.

Wiele osób zwiedzając Kowno, zapomina o odległem o 7 wiorst Pożajściu, do którego można się udać parostatkiem, odchodzącym codzień o godzinie 2-giej po poł. do Birsztan, powrotna zaś droga wynajętemi końmi lub pieszo prowadzi lasem, wzgórzami nad Niemnem koło tunelu i doliny Mickiewicza. Wspaniały niegdyś klasztor Kamedułów skonfiskowany po roku 1831, ufundowany przez znakomitego męża stanu za Jana Kazimierza, kanclerza W. ks. Litewskiego Krzysztofa Para w roku 1662, wznosi się nad brzegiem Niemna, na górze malowniczej odzianej lasami, zwanej „Mons Pacia“ — Góra pokoju (aluzya do imienia Paców). Zwłoki jego i żony spoczywają w katakumbach kościelnych. Jeszcze dziś prawie nietknięte zachowują się po całym kościele i na murach klasztoru freski z hist. św. i historyi zakonu Kamedułów, malowane przez ówczesnych artystów włoskich, których w tym celu specyalnie sprowadził potężny Pac, jak również i rzemieślników włoskich do okładania ścian grubemi marmurami czarnemi i czerwonemi dostarczanemi z nad wód Adryatyku. Subtelna robota i piękna harmonia kolorów, przykuwa widza i pogrąża w zadumę nad naszą przeszłością.

W murach tych w czasie wyprawy na Litwę w roku 1706 przebywał Karol XII, a w roku 1831 odbywały się narady przywódców ruchu ks. Ogińskiego, Maziańskiego, Szukszty i Puszeta ztąd też wyruszyli ze swemi oddziałami na nieudaną wyprawę do Kowna.

Obowiązkiem jest każdego zwiedzającego Kowno być w niedawno otwartem muzeum miejskiem za ratuszem, prosperującem publicznie dzięki zapobiegliwości i pracy kustosza p. Tadeusza Dowgirda z komisyą, w skład której wchodzą pp. mecenas W. Bociarski, L. Niecíecki, Hryncewicz, Herbaczewski i W. Starewicz.

Z powodu rocznicy grunwaldzkiej na czasie jest przypomnieć o bytności w Kownie pogromcy potęgi krzyżackiej, króla Władysława Jagiełły. W 1384 roku Jagiełło będąc W. Ks. Litewskim, pogodziwszy się z Witoldem, przez miesiąc oblegał z nim zamek obsadzony Krzyżakami o murach na 10 stóp grubych (obecnie pozostała tylko część baszty nad Wilią) odparł odsiecz W. mistrza Konrada Wallenroda i zmusił do poddania się krzyżacką załogę.



Kościół katedralny w Kownie.

Drugi raz Jagiełło przybył do Kowna już jako król polski d. 6 stycznia 1408 roku na kongres, w którym brali udział W. mistrz krzyżacki Ulrych Jungingen, mistrz inflancki oraz ks. Witold. Celem zjazdu było oznaczenie granic między Polską, a Zakonem, lecz do porozumienia nie doszło. Już po zwycięstwie grunwaldzkiem i traktacie toruńskim w roku 1413, przybył Wła-

dysław do Kowna, by z wybranym rozjemcą, wysłańcem ces. Zygmunta, zakończyć spór o granicę. Po układach, król zostawiając żonę Annę i córkę Jadwigę na zamku w Kownie, udał się z Witoldem statkami po Niemnie dla nawracania na wiarę św., do której Żmudzinów zniechęcali Krzyżacy. Lud tłumnie przystępował do chrztu, a po kilku latach, Witold założył katedrę biskupią żmudzką w Miednikach (Worniach).

Obchód grunwaldzki w Kownie również zaznaczył się świątecznie, sklepy polskie do południa były zamknięte, kościół katedralny do połowy zapełnił się przez chcących uczcić święto narodowe. Mszę celebrował ks. prałat Kierpowski, mowę okolicznościową wygłosił z kazalnicy ks. B. Laus, a w języku litewskim ks. Olechno.

Dział kobiecy.

Przykazania dla panien gotowych do zamążpójścia.

Panny, mające zamiar wyjść zamąż, powinny przy wyborze przyszłego towarzysza życia uważać na następujące punkty: 1) Nie wychodź za mężczyznę, który przychodzi o godzinę później, aniżeli było umówionem. 2) Nie wychodź za mężczyznę, wymagającego towarzystwa, by się mógł rozerwać. 3) Nie oddawaj ręki mężczyźnie, który się pozwoli przyłapać na kłamstwie. 4) Nie wychodź za mężczyznę niemiłosiernego dla zwierząt i nie lubiącego przyrody. 5) Nie wychodź za eleganta, ale też odmów ręki mężczyźnie, który chodzi w brudnym kołnierzyku. 6) Nie wychodź za mężczyznę, szczycącego się kosztownościami (pierścionkami, łańcuszkami i t. d.). 7) Nie wychodź za mężczyznę, który mówi, że ma dochód niewystarczający. (Jakże będzie, jeżeli się pobierzemy? Musisz się zapytać sama siebie). 8) Nie wychodź za mężczyznę, który nie może popatrzyć spokojnie w twe oczy i nie podaje ci ręki serdecznie. 9) Nie wychodź za mężczyznę, wyśmiewającego innych. Nie jest bowiem wykluczonem, że i ciebie wyśmiewa. 10) Nie wychodź za mężczyznę posługującego się wyszukanemi słowami i gestami teatralnemi; albo piszącego listy fantazyjne, z których przebija brak zdrowego rozumu. Ale nie bierz także mężczyzny, nie mającego dla ciebie przyjemnego słowa, ponieważ może on być później brutalnym. 11) Nie wychodź za mężczyznę, dowiadującego się rozmyślnie o stan majątkowy twego ojca. 12) Nie wychodź za mówiącego bez uszanowania o twoich lub swoich rodzicach. 13) Nie wychodź za mężczyznę, który nie ma planów na przyszłość w swojem zajęciu zawodowem. 14) Nie wychodź za mężczyznę, utrzymującego jeszcze inne stosunki, i o którym nie jesteś silnie przekonaną, że tylko ciebie chce. 15) Nie wychodź nigdy za pijaka.

* * *

Nowa forma zawierania małżeństwa.

W Anglii powstało niedawno „Towarzystwo religii moralnej.“ Kierownik tego ruchu, dr. Stanton Colt dokonał przed paru dniami aktu ślubnego na podstawie ustaw tego Towarzystwa. Różni się on bardzo znacznie pod względem formy od wszystkich innych aktów ślubnych. Ze względu na krótkość i czczość — według opisu „Alfiere“ — zbliża się on bardzo do aktu ślubnego przed urzędnikiem stanu cywilnego. Uroczystość odbyła się w domu panny młodej. Przybyło około 100 gości zaproszonych. Ceremonia rozpoczęła się odśpiewaniem przez doktora „hymnu do poranka,“ poczem wygłosił znowu doktor sonet Szekspirowski. Po tem zagajeniu nastąpiło właściwe zawarcie małżeństwa: narzeczeni wstawszy podali sobie ręce i każde z nich powiedziało do drugiego: „Od dnia dzisiejszego jesteś mym towarzyszem życia. W dobrem i złem, w bogactwie i w biedzie, w chorobie i zdrowiu będę cię kochać i szanować, dopóki nas śmierć nie rozłączy.“ Potem zamieniono pierścionki, co zarazem stanowiło zakończenie uroczystości weselnej. Zaproszeni goście rozeszli się do domów.

* * *

Karykatura w modzie.

Jesień u progu. Więc zapobiegliwe modniarki skrzętnie gromadzą modele kapeluszy na sezon nadchodzący.

Zdawaćby się mogło, że kapryśna moda, nacieszywszy się do syta szpetotą: babek, garnków koguciclı, donic, koszyków i t. p. potworności, w które ustrajała litości godne głowy damskie, wymyśli wreszcie coś bardziej harmonijnego, estetycznego lub oryginalnego przynajmniej. Złudzenie! Po koszykach i donicach przyszła kolej na szkopki. Naczynia te, naturalnie z odpowiednich cudacznych materyj zbudowane, służyć mają do tego, by twarze naszych pań uczynić niewidzialnemi.

Głowa bowiem w taki dziwoląg ustrojona ginie zupełnie pod olbrzymiem, ze wszech stron opadającem rondem i ledwie koniec podbródka ukazuje się oczom ciekawych. Wyzwalają się więc nasze panie w odwrotnym niż Turczynki kierunku. Te ostatnie albowiem zmuszone dotąd chować oblicza swoje pod zasłonami, walczą o to, by je módz ukazywać światu, Europejki, modzie posłuszne, ukrywają twarze pod zazdrosne „krawędzie“ od kapeluszy.

Tyrania obecnej mody skrępowała kobiety do niemożliwości. Czy można ujrzeć coś równie szpetniejszego, śmiesznego i godnego litości, jak damę współczesną w sukni modnej obecnie niżej kolan spętanej...

Ofiara mody drepcze zabawnie nóżkami w dobrowolnie nałożonych więzach, wzbudzając śmiechy i drwiny przechodniów. Mimowoli przychodzi na myśl, coby poczęła w razie nieszczęśliwego wypadku spętana modnisia, widząca przed sobą tylko taki kawałek świata, jaki pozwala jej ogarniać rondo świeżo wprowadzonego na widownię mody szkopka. Przypuszczać jednak należy, że tylko bardzo już puste głowy przykrywać się będą wstydliwie nowo wymyślonemi fasonami. Polki zaś rozsądniejsze i o piękność prawdziwą dbałe, nie uczynią ze swych głów w tym sezonie kołków dla szkopków, jak w sezonie wiosennym ani jedna rozsądna nie włożyła głośnego sita koguciego, nie chcąc z głowy uczynić wylęgarni dla kurcząt.

* * *

Kocham cię.

Jeden ze szwedzkich uczonych pracuje nad ciekawem dziełem: ma to być zestawienie oświadczeń miłosnych wszystkich ludów, znajdujących się na kuli ziemskiej! Rzecz to nie tak łatwa, jeśli się zważy, że na kuli ziemskiej istnieje przeszło tysiąc języków, w których to wyrażenie miłosne „kocham cię!“ bywa szeptane, wykrzykiwane i wymawiane między kochankami. Chińczyk naprzykład mówi: „Uo ugai ni“; Armeńczyk wypowiada swoją miłość do ukochanej w słowach: „Se sirem as hez“; Arab zadowala się krótkiem „Nahabbek“; Turek wzdycha „Sidi sewejorum“; Indyjczyk „Main sym ka pisar karim“. — Najciekawszem jest jednak oświadczenie Grenlandczyka, do wypowiedzenia którego potrzeba sporo sprawności językowej—brzmi ono: „Unifgraeerndlainalerfironajunguarrigujak!“ Europejczyk prędzej się oświadczy i ożeni, zanim zdoła to gładko wypowiedzieć; młody człowiek u nas, który chciałby szepnąć to w różo-

we uszko ukochanej, połamałby sobie język, a ukochana conajmniej dostałaby zawrotu głowy.

Ból zasnął

Ból zasnął! przebytych mąk męczarnie,
Dziś, jak sen, należą do przeszłości,
Marzenia złote rozwiane marnie,
I dziwny spokój w sercu mem gości.
A jeźli piosnki moje tęsknotą,
Owiane czasem, tak, mimowoli,
To zapatrzona gdzieś w gwiazdę złotą,
Chciałabym ludzkiej ulżyć niedoli,
I zbratać rozkosz nieraz ze łzami,
By tak nie gniotło życia ogniwo,
Niechby krew trysła z rany wstęgami,
Ku odrodzeniu twojemu żywo!
Czasami duszę gnębi wspomnienie,
Masz przed oczyma złudzeń szkielety,
Jedno za drugiem zbiegło marzenie,
A tyś z zawodem został niestety!
Czemu jesienią kwiaty pobladły?
Czemu im słońce życia nie wraca?
Bo szrony śmierci na kwiecie padły —
Wskrzesić je trudno, daremna praca.
Tak nam się dzieje, chociaż na twarzy,
Jeszcze raz po raz uśmiech przeleci,
Bo rzadko kiedy głośno się skarży,
Ten, komu słońce dawno nie świeci.
Szumiące lasy są mu ostoją,
I potok rączy w cichej ustroni,
Bo zawsze zgodny jest z myślą twoją,
Często przed zwątpień falą obroni.
Smutek twój bieży wody nurtami,
Lub ptak go chwyta niekiedy w locie,
I ten powiernik z twojemi łzami
Ofiarny wieniec składa tęsknocie!
Sypią się z niego liście — marzenia,
Jak z skrzydeł piórka, dotkniętych strzałą,
Czas goi rany, leczy cierpienia,
Gdy stawisz czoło przed burz nawałą.
A gdy opadnie listek ostatni,
I ból serdeczny pod lodem skona,
Wyjdziesz zwycięsko z zwodniczej matni,
W tem twoja siła — i twa korona.
...Może odnajdziesz szczęścia klejnoty,
Dobiegniesz kresu w myśli pogodzie,
I chociaż we śnie ujrzysz raj złoty,
Budując dalej... zamki na lodzie...

Marja Paruszewska.

Poznań, 22. 8. 1910.

Nie tak łatwo człowiekowi wyjąć ze swojej duszy cel, w który wszystkie swoje pragnienia, całą swoją istotę włożył. Jednak do mądrości należy cofać się, kiedy nie można iść naprzód.

Józef Gołuchowski.

Pogadanka naukowa.

Historya ognia.

Dziś trudno sobie nawet wyobrazić, jak świat mógłby się obywać bez ognia. A przecież były czasy i to tysiące lat, że ludzie ognia nie znali zupełnie, a przecież żyli, zupełnie nie odczuwając tego braku. Nie znaczy to jednak, aby ludzie wcale ognia nigdy nie widzieli, lecz znaczy, że nie stosowali go do swego użytku.

W czasach tych ogień zdarzał się tylko wtedy, gdy piorun uderzył w las, lub step i zapalał nagromadzone tam suche materyały. Czasem zapalały się suche łodygi sitowia, ogrzane bardzo przez słońce wskutek własnego tarcia.

Ludzie dawni z przerażeniem patrzyli na płomień pożaru i poczytywali ogień za straszną, okrutną istotę żywą, za mściwe bóstwo, które niesie śmierć i zagładę. I dużo upłynęło czasu, zanim zmuszeni potrzebą, wzięli ogień na swój użytek. A wtedy, ceniąc dobroczynne jego działanie, gdy im ognisko rozświecało ciemną jaskinię, gdy ciepło wchodziło w zesztywniałe z chłodu członki, gdy płomień pełzający zabezpieczał ich od natarczywości dzikich zwierząt — poczęli czcić ten żywioł i za bóstwo go uważali, modląc się do niego.

Niektóre ludy posiadają legendy o tem, w jaki sposób ludzie zdobyli ogień na swój użytek. Jedna z opowieści australskich opowiada o „strasznym ptaku ognistym“, to jest o wulkanie, i w jaki sposób mu ludzie ogień wydarli.

„W dawnych, bardzo dawnych czasach gnieździł się ptak na wysokiej górze, która sięgała nieba. Ptak żył dostatnio, bo miał ogień, na którym piekł mięso, ale nie użyczał go ludziom, co trzęśli się z zimna. Razu jednego zoczyli oni ognisko wspaniałe na wierzchołku góry. Poczęli rozmawiać o tem, że wielki ptak porwał kawałek słońca. Zebrał się tedy wszystek lud u podnóża góry, błagając o kawałek dobroczynnego słońca, przy którem mogliby się ogrzać. Dostali jedynie trochę pieczonego mięsa, które im nie smakowało. Zmiarkowali jednak, że łatwiej je gryźć, niż surowe mięso, a nadto wywnioskowali, że jeżeli wielki cudowny ptak piecze mięso, to i oni powinni postępować podobnie. Ponowili więc swoje prośby o najdrobniejszą choćby cząstkę słońca. Ale wielki ptak szydził z nich tylko i pytał, czy chcą być sami usmażeni?

„Dzicy odeszli, a podówczas nie umieli budować jeszcze mieszkań. Podczas zimy kładli się pod grubem drzewem, latem na wydmach piaszczystych, podścielając trawę. Z pomocą przyszło im inne ptastwo. Gdy wielki ptak odleciał z wierzchołka góry po żywność.



Witold Aleksander, Wielki książę litewski, pogromca Krzyżaków pod Grunwaldem.

rozpościerając w powietrzu swe olbrzymie skrzydła jako dwie czarne chmury, ptastwo podleciało ku górze z kawałkiem drzewa, na które wzięło nieco żywego słońca (ognia). Gdy przynieśli je czarnym, ci ze zdumieniem spoglądali na owe kawałki słońca. Śmielsi wzięli je do rąk, lecz sparzywszy się, rzucili przerażeni. Sama trawa, na której leżeli, zajęła się płomieniem, a pożar szerzył się w lesie. Postrach wziął wszystkich, nie wiedzieli, czego się mają obawiać, ani kędy uciekać. W popłochu dostrzegli, że kogokolwiek ogień dosięgnął, ten umierał i stawał się zupełnie czarnym. Myśleli, że nowe zwierzę, nie mając ani nóg, ani ust, ścigało ich i pożerało. Wielki ptak szybował nad nimi w powietrzu i szydził: czy wam podoba się, że się smaży życie? Wielu ludzi, zwłaszcza dzieci, spaliło się, ogień tylko za tymi już nie poszedł, którzy przepłynęli rzekę. Te niedobitki stamtąd przyglądały się pożarowi. Wreszcie pozostały jedynie żarzące się węgle, świecące w ciemności, a to zwiększało obawę. Dopiero pa paru dniach odważyli się przejść z powrotem rzekę i zwolna posuwali się dalej. Tu znaleźli ogień pod jednem spalonem drzewem. Po wielu próbach i strachach nauczyli się postępować z ogniem i zaznajomili się z jego dobroczynnemi przymiotami.“

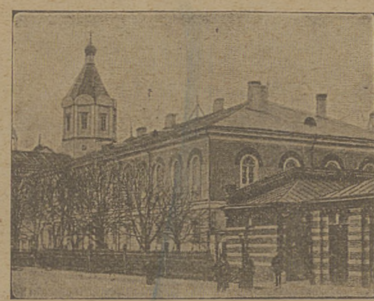
Opowieść ta, jak i inne podobne, bardzo niedokładnie zaznajamia nas z tem, w jaki sposób ludzie po raz pierwszy dostali ogień do ręki. To tylko z tego możemy wywnioskować, że sami wytwarzać go nie umieli, lecz odrywali niejako cząstkę ognia od pożaru i utrzymywali przez czas dłuższy.

Upłynęły niezawodnie setki, a może tysiące lat, zanim ludzie nauczyli się zapomocą tarcia wydobywać ogień. Może być, że do tego wynalazku, jak do wielu wynalazków, doszli tylko przypadkowo.

W różnych miejscowościach — różne służyły przyrządy do wydobywania ognia, ale były one wszędzie złożone z dwóch kawałków drzewa, niejednakowej trwałości. Niektórzy używali do tego świdra ręcznego, składającego się z kijka, podobnego do trzonka strzały, a ściętego na końcu. Wiercąc takim świdrem, po pewnym czasie wytwarzali proszek, który od gorąca poczynał się tlić. Inni przesuwali kij wzdłuż otworu i tak samo doprowadzali do zapalenia się wydobytego proszku.

Oczywiście takie wydobywanie ognia było nadzwyczaj uciążliwe, to też ogień ten był bardzo cenny, wskutek czego starano się zachować go jak najdłużej, aby sobie nowej pracy nie zadawać. Dlatego też zapewne w świątyniach pogańskich utrzymywano stale ogień, jako rzecz świętą.

Taki stan trwał bardzo długo, aż dopiero około 1840 roku wynaleziono zapałki, które tak pracę ułatwiają.



Gimnazyum męskie w Kownie,
(Patrz artykuł „Z ojczystych stron“.)

Obecnie mamy zapałki, lampy, świece, piece, kominy, nie mówiąc już o świetle gazowem i elektrycznem. Zżyliśmy się z temi wygodami, z temi zdobyczami cywilizacyi i nikt się nie zastanawia, jak doniosłe znaczenie ma ogień w życiu ludzkiem. Człowiek pierwotny przez zdobycie umiejętności posługiwania się ogniem mógł życie swe wygodniejszem uczynić. Gotowane jadło posilało go lepiej. Ogrzewało ognisko w mroźne dni zimowe; mógł człowiek przytem dzień dłuższym uczynić. Bez ognia ludzie skazaniby byli na zamieszkiwanie krajów tylko w ciepłym klimacie leżących. Gdyby nie ogień, ludzkość nie[illegible] by mieć żelaza i innych metali, któ[illegible] w ogniu z rud się wytapiają.

Nowa zdobycz medycyny.

Nowoczesna medycyna, rozwijająca się w tak szybkiem tempie, pochlubić się może znowu nowym postępem na polu chirurgii. Dr. Wiktor Lespinasse, docent uniwersyteckiego kolegium medycznego w Nowym Yorku, wynalazł nowy sposób łączenia arteryj, który przy rozmaitych operacyach może mieć ogromną doniosłość. Dotychczas zszywanie arteryj było bardzo trudnym zabiegiem chirurgicznym; łączyło się z niem zwłaszcza to niebezpieczeństwo, że z zaszytej rany mogły się oderwać reszki zaskrzepłej krwi, i płynąc z krwią dostać się do mózgu. W systemie dr. Lespinasse zeszywanie nie istnieje zupełnie. Wolne końce naczyń krwionośnych, które mają być z sobą złączone, nie zostają nawet wcale zbliżone do siebie bezpośrednio; dr. Lespinasse używa do złączenia metalowych pierścieni z magnu, grubości papieru, dostosowanych dokładnie do średnicy arteryj. Oba pierścienie opatrzone dziurkami związuje się z sobą jedwabną nicią. Po pewnym czasie nić się usuwa, poczem goi się ranę skóry, pod którą znajduje się złączenie. Pierścienie magnowe pozostają w ciele. Dr. Lespinasse stwierdził, że magn zostaje zupełnie zaabsorbowany przez organizm, znika, umożliwiwszy połączenie przerwanej arteryi. System jest nieco podobny do używanego przez nowoczesną chirurgię systemu Murphyego łączenia jelit; w tym wypadku jednak metalowa część łącząca pozostaje w kiszce niezaabsorbowana. Jak donosi „New York American“, dr. Lespinasse zdołał w ten sposób uzdrowić przeciętą arteryę nogi psa, mimo, że zabiegu dokonał dopiero w pół godziny po przecięciu. Z ludźmi rozpoczną się próby dopiero po ostatecznem wydoskonaleniu systemu i to z początku będą przedsiębrane u tych, których wiedza lekarska w żaden inny sposób nie będzie mogła uratować.



Gimnazyum żeńskie w Kownie.
(Patrz artykuł „Z ojczystych stron“.)

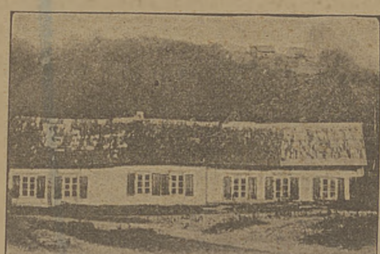
Nowa ta zdobycz medycyny przyłącza się do wielu innych, jakie historya medycyny może z dumą zapisać z lat ostatnich. Pierwsze pomyślne usunięcie dotkniętej rakiem części żołądka, dokonane przez Billrotha uważano wprost za cudowne, nie mniejszy podziw budziły operacye, wykonywane przez Woeflera i Mikulicza, jako też sztuczna krtań Guessenbauera. Albert zastępował zniszczone części nerwów innemi, podobnie jak do uszkodzonego przewodu telegraficznego daje się nowe druty; jeden z wojskowych chirurgów wiedeńskich zastąpił uszkodzoną część czaszki płytą z celluloidu, wreszcie Rehn nauczył zeszywać rany serca. Gersuny upiększa brzydkie nosy tak zwaną plastyką, Mosetig buduje sztuczne fragmenty kości. Wspomniana wyżej metoda Murphy'ego umożliwia łączenie jelit przy pomocy metalowych cylindrów, po wyjęciu chorej części; metodę jego

udoskonalili jeszcze uczniowie Alberta Obok tego staje w szeregu zdobyczy nowoczesnej medycyny system wynaleziony przez Lespinassela, który, rozwijając się dalej, może doprowadzić do powstania wielkiej chirurgii serca.

Z dziedziny hygieny.

Krew w człowieku.

Gdy człowiek większą część krwi utracił, natenczas największa część objawów życia jest osłabiona. Części ciała: nerwy, muszkuły, gruczoły itd. jeżeli za mało zawierają krwi, nie zdołają wydołać swemu zadaniu. Prędzej jeszcze, jak nerwy, i muszkuły, osłabia się czynność najważniejszych części: nerek i wątroby, i ostatecznie czynność ta zupełnie ustaje. W dalszym rozwoju utraty krwi organizmu, osłabiają się także nerwy i muszkuły serca, aż wreszcie zupełnie stawają się bezwładne.



Dworek na „Kartofliskach“ w Kownie.
W dworku tym, własności prefekta gimnazyum p. Stanisława Dobrowolskiego mieszkał Adam Mickiewicz w r. 1823 w dużym o dwóch oknach pokoju frontowym, z prawej strony domu.
(Patrz artykuł „Z ojczystych stron“)

Człowiek silny ma także dużo krwi, a silna działalność ciała polega równie na obfitem zaopatrywaniu pracujących części ciała w krew.

Dawniejsza nauka lekarska leczyła wielką część chorób za pomocą upuszczania krwi. Głównym powodem tego sposobu leczenia aż do nowych czasów, było to mniemanie, że we wielu chorobach, mianowicie przy zapaleniach, uważano zbytek czynności siły żywotnej. A zatem ze zbytku siły żywotniej miały tak samo powstawać choroby, jak z jej zmniejszenia. Upuszczano więc krew, aby czynność tej siły zmniejszyć i przez to też osłabić siłę choroby. I rzecz naturalna, że gdy wogóle siły całego ustroju ciała się osłabiły, musiała się też i siła choroby osłabić; osięgano więc chwilową korzyść zmniejszenia choroby, ale natomiast wielką szkodę czyniono całemu ustrojowi ciała, bo go stale osłabiono. Tymczasem zupełnie przeciwnie do tego mylnego zapatrywania się na przyczynę choroby, polega choroba właśnie na zmniejszeniu siły żywotniej nietylko owego chorego organu, ale całego organizmu. Jeżeli więc przez upuszczenie krwi choremu organizmowi odbierzemy potrzebny do życia materyał, szkodzimy ciału jeszcze więcej, do jednego złego dodajemy drugie, bo osłabiamy ciało i odbieramy mu siłę, za pomocą której chorobie skutecznie opierać się może. Najnowsza nauka lekarska dąży do tego, aby zagrożony wskutek choroby niebezpieczeństwem ustrój ciała zdołał przetrzymać. Trzeba zatem z zasady odrzucać wszystko, co chorego osłabia, a z puszczania krwi można tylko w ten sposób korzystać, że z miejsc, w których chorobliwe znachodzi się nagromadzenie krwi, a wskutek tego zatamowane jest jej krążenie, ta krew się usuwa za pomocą baniek lub pijawek.

U wieśniaków należy jeszcze do dziś dnia puszczanie krwi do rzekomo koniecznych potrzeb życia, a tak dalece są w tej mierze zaślepieni, że nie każą sobie krwi puszczać wtenczas tylko, gdy się czują chorymi, ale czynią to w regularnych odstępach czasu.

Ilość utraconej krwi przeceniają zwykle ludzie, jak się to już pokazuje z utartych sposobów mówienia, n. p. „strumienie krwi“ itp. Pochodzi to po części stąd, że człowiek naturalny wstręt do krwi czuje, a potem i ta jest przyczyna, że krew nadzwyczajną ma siłę zabarwiającą i dla tego większe pozostawia po sobie ślady. I tak niewiele kropli krwi wpuszczonej w miednicę wody, zabarwiają wodę tak, że do krwi prawie jest podobną; tak samo rzecz się ma z śladami na bieliźnie.

Ile zdrowy człowiek zawiera w sobie krwi, obliczono za pomocą doświadczeń, które robiono na straconych zbrodniarzach.

Pokazało się, że dorosły mężczyzna ma 7,7 procent krwi czyli 1,13 części ciała. Jeżeli więc mężczyzna waży 130 funtów, natenczas ma w sobie 10 funtów krwi.

Ilość krwi zależy od wieku i stanu organizmu ciała. Sprawdzono to na zwierzętach. W młodszym wieku ma człowiek stosunkowo więcej krwi, jak w starszym. To też wiemy z doświadczenia, że organizm ciała w młodszym wieku więcej pracuje i dzieci więcej potrzebują pokarmu, większy mają apetyt, jak dorośli. Otyli ludzie mają stosunkowo mało krwi.

Brak ruchu przyczynia się do mnożenia się tłuszczu w człowieku, a przez to zmniejszenia ilości krwi, ruch zaś przyczynia się do jej powiększenia. Niewiasty wogóle mniej są wystawione na natężenie muszkułów, dla tego skłonniejsze są do otyłości i mniej krwi mają w sobie.

Pokarmy mięsne pomnażają krew; tłuszcz zaś, mąka i cukier ilość krwi zmniejszają. Kartofle, używane prawie wyłącznie na pokarm, przyczyniają się do zmniejszenia ilości krwi i następnie do osłabienia całego organizmu. Blada cera, brak sprężystości muszkułów i skóry są oznakami niedostatecznej ilości krwi i anemii. Ciężka praca bez odpowiednich pożywnych pokarmów jest przyczyną braku krwi.

Tak samo zmniejsza się ilość krwi przez dłuższe i cięższe choroby. Objawem braku krwi jest słabość po chorobach, mianowicie chorobach febrycznych.

Ubytek krwi nastąpić może nietylko przez zmniejszenie się ilości płynu krwistego, ale i przez rozrzedzenie krwi. Krew taka jest daleko bledsza od krwi zdrowego człowieka, a znachodzi się u ludzi chorych, starców i u zdrowych po długim głodzie.

Warunkiem zdrowia i życia jest dostateczna ilość treściwej krwi, o to więc człowiek najtroskliwiej dbać powinien, a środkami do tego są: oszczędzanie krwi i staranie się o zdrowy i treściwy pokarm oraz świeże powietrze.

Głupiec, co na mnie rozwarł zjadliwą swą paszczę,
Mniej mnie trwoży, niż głupiec, co mnie niby głaszcze.
Jan Gorczyszewski.



Plac Mikołajewski w Kownie.
(Patrz artykuł „Z ojczystych stron“.)

Czarnogórska „Marsylianka.“

Król czarnogórski Nikita jest nie tylko dzielnym politykiem i wodzem swego małego kraju, ale najlepszym jego poetą.

Posłuchajmy, jak górnie i podniośle brzmi, naprzykład, jedna z najpopularniejszych pieśni księcia Mikołaja, która w Czarnogórze stała się tem, czem „Marsylianka“ we Francyi.

O tam, wraz ze mną — za te góry,
gdzie dumnie stał władyków tron
i trwał od wieków bój ponury,
co miasto zwycięstw zsyłał zgon!

O tam wraz ze mną!
Pod Prizroną
odżyje pieśń minionych ech,
bo z mieczem w dłoni nam sądzono
powrotnie wejść do dawnych strzech!
A choć dziś w gruzach tron wspaniały,
lecz czas wrogowi wieść już:
— O uchodź stąd i oręż złóż,
bo cię rozmiażdżą górskie zwały!

O tam, wraz ze mną — za te góry!
Kędy Deczany patrzą w chmury,
tam obiecany ziemski raj,
tam naszych ojców cudny kraj...

Ponad doliną, gdzie trwał bój
srebrem i złotem lśnią błękity...

O ludu, nowy oręż kuj
za przyszłą sławę i zaszczyty!
Czy słyszysz ... Tam poza góranu
południe ciągle wzywa nas,
a iść na pomoc dawno czas,
bo wróg zadepce je nogami!

Więc dalej za mną!...
Turków kości
zgruchoce znów słowiańska broń,
a odtąd jej nie puści dłoń,
aż wszystkim błyśnie dzień wolności!

I przyjdzie zemsty chwila święta...
Tam gdzie Miłosza zawarł grób,
opadną kajdan ślizgie pęta
i legnie wróg u naszych stóp...

Do chat!... z kagańcem!...
O, Polski siostrzyce...
Za przeszłość, za ból odpłacić
Powinność to nasza jest święta...
Tak blizka ta droga
Do serc! do dusz...
Miłością jasną przed nami wytknięta,
Do chat z kagańcem
O Polski siostrzyce...
Milionom stęsknionym,
Spragnionym
Trza podać napój z stu kruż!

Jadwiga S.

J. H. Rosny.

OTCHŁAŃ.

(Nowela).

— Straszna to rzecz — mówił Gilbert — być obecnym przy morderstwie i nie módz mu zapobiedz. Coś podobnego przytrafiło mi się właśnie raz na Montartre pewnej zimowej nocy. Banda apaszów napadła biedną dziewczynę, zapewne ofiarę zemsty i jeden z nich przebił jej piersi dwukrotnie nożem. Jak rażony piorunem, stanąłem bezwładny na przeciwległym chodniku, a kiedy wreszcie przyszedłem do siebie i rzuciłem się na pomoc, mordercy się rozpierzchli, ratunek był już zbyteczny. Długo potem nie mogłem się otrząsnąć z tych okropnych wspomnień.

— Ja — wtrącił Martage — mógłbym śmiało twierdzić, że podobne zdarzenie przeżyłem w dwójnasób silniej. Jako zapalony żeglarz sportowiec, przepędzałem lato w Saint Sebastian. Okolica przecudna, lecz ona nie mnie nęciła. Siłą przyciągającą był pobyt w tem miejscu mego przyjaciela Valkin'a, posiadacza przepysznego żaglowca, ktoryśmy wspólnie wypróbowywali. Nie było dla nas większej przyjemności, jak wyjechać na morze każdego dnia, kiedy lekki wietrzyk pozwolił nam rozwinąć żagiel i nie obawiać się wichury. Gdy mówię dnia, nie wyłączam przez to nocy. Właśnie wycieczki nocne szczególniej miały wiele uroku z powodu przezwyciężanych trudności i mocnych wzruszeń. Pewnej nocy, kiedy spokojnie płynęliśmy na pełnem morzu, wytężając wzrok w w kierunku sygnałów nadbrzeżnych od Biarritz aż do Cap-Breton, ujrzeliśmy nagle zbliżający się żaglowiec, który dążył prosto ku nam bez świateł w ciemnościach. Widocznie nas spostrzegł, gdyż usłyszeliśmy głos kapitana, który wydał rozkaz dosięgnąć nas coprędzej. W tej chwili usłyszeliśmy przez tubę:

— Szacunek dla Elohimów!

— Do dyabła! — mówię do Vilkin'a — to coś wygląda na hasło. Co to może być i co odpowiedzieć?

— W takich wypadkach odpowiada się zwykle: „przyjaciele“ — zaopiniował Vilkin.

Zgodziłem się na to i krzycząc co sił: „Przyjaciele!“ skierowałem się ku nim.

— Przybywajcie! — zakrzyczano nam — potrzebujemy objaśnień.

Wolno, zwijając liny, przybiliśmy do żaglowca. Wtem dojrzeliśmy, jak od ciemnej masy odłączyła się łódka; w chwilę później zaczepiła nas z prawej strony, a głos rozkazujący zawołał:

— Kto jesteście! Skąd przybywacie!

— Do pioruna! — krzyknął Vilkin, którego ta indagacya zaczęła gniewać. — Kto jesteście sami i czego chcecie?

Słowa te miały skutek, ktoregośmy najmniej oczekiwali. Zanim zdążyliśmy je wypowiedzieć, naszą łódką owładnęli marynarze i po krótkim oporze mocno nas skrępowali. Przeraźliwe nasze krzyki ginęły w szumie fal i wiatru. Dziesięć minut potem przewieziono nas po krótkim oporze mocno skrępowanych na pokład statku i złożono w kącie. I wtedy to rozegrała się przed naszemi oczami najohydniejsza scena, jaką można sobie wyobrazić. Oświetlały ją tylko słabe blaski skrytej latarni, której nie można było dostrzedz z brzegu. Usłyszeliśmy następującą rozmowę:

— Czy już czas, Cotys?

— Przypływ jeszcze niedostateczny, kapitanie: musimy wpierw dostać się na „Otchłań“*), a tam możemy ich kłaść już do trumny.

— Czy trzeba ich dopiero pozabijać? — zapytał drwiący głos.

— Mojem zdaniem, byłoby dobrze przyłączyć jeszcze tych dwóch — szydził trzeci, wskazując na mnie i Vilkina.

— Toby się na nic nie zdało; prędkoby ich odnaleźli.

— Bez żartów chłopcy i do roboty! Zapakować mi tamtych gałganów do pudeł, a jeżeli będą stawiać opór, połamać im nogi!

— Dobrze kapitanie. Za godzinę będą tu wszyscy leżeli, a potem chlust! nogi naprzód w przepaść!...

Na te słowa umysły nasze zaczęły się mącić; jakiś śmiertelny bezwład zaczął nas ogarniać. W tejże chwili wniesiono pierwszą trumnę, a potem jakiś kształt wydłużony, starannie skrępowany, który zdawał się konwulsyjnie wyrywać. Mordercy bezczelnie napawali się cierpieniami ofiary.

— A to mnie kopnął — zawołał jeden, padając na ziemię, jak długi, wśród kaskady grubego śmiechu na swoich towarzysy.

— Dawaj tu wieko — krzyknął drugi — raz zabity gwoździami będzie spokojniejszy.

Nie upłynęła sekunda i usłyszeliśmy odgłos uderzeń młotków.

— Nędznicy! — zawołał strasznym

*) Głębia pod Cap-Breton.

głosem Vilkin, nie mogąc się pohamować.

— Błagam was — dodałem — nie zabijajcie go! Pomyślcie o karze, która was czeka.

Szatański śmiech był odpowiedzią na nasze słowa.

— Zakneblować im pyski! — huknął kapitan — niech nam nie przeszkadzają!

Rozkaz wykonano w jednej chwili. Przeniesiono nas na drugi koniec statku i złożono za stosem pustych worków, które służyły jako śmiertelny całun dla nieszczęśliwych ofiar, nad któremi pastwili się mordercy. Nie mogliśmy nic widzieć, lecz do uszu naszych dochodziły odgłosy daremnej walki skazańców... Piekielne żarty załogi i uderzenia młotka przy zabijaniu trumien... Dwa razy nawet usłyszeliśmy straszne krzyki, tem okropniejsze, że w tej chwili zduszone; później były to już tylko głuche rzężenia...

Ośmnaście razy, ośmnaście śmiertelnych razy usłyszeliśmy plusk trumien do wody, a każdemu towarzyszyło szydercze mruczenie pacierzy. Krew ścięła się w naszych żyłach, straciliśmy przytomność.

Kiedyśmy się ocknęli, byliśmy znów na swojej łodzi, a fale lekko muskały jej burty. O wschodzie słońca przybyliśmy do Biarritz, tu najęliśmy powóz i co koń wyskoczy, pędziliśmy do Labonne. W chwili, gdy skręcaliśmy na drogę ku Cap-Breton, wyłonił się na skręcie wóz, zaprzężony w dwa muły. Wóz był naładowany 18 trumnami, zupełnie podobnemi do tych, które w naszych oczach wrzucono do wody ubiegłej nocy. W jednej chwili wyskoczyliśmy z powozu i zwróciliśmy się do woźnicy.

— Nędzniku! — zawołałem — czy wiesz, co wieziesz?

— Pst! — szepnął tenże. — Czyżbyście chcieli przyczynić mi kłopotu?

— Ze sprawiedliwością! — krzyknąłem.

— Co? — zdziwił się woźnica. — Komora, to jeszcze nie pałac Sprawiedliwości.

— Ko-mo-ra... — wybełkotałem, tracąc grunt pod nogami.

Spojrzałem na Vilkin'a on popatrzył na mnie: w końcu parsknęliśmy śmiechem. Załoga nieznanego statku spłatała nam grubego figla, a te trumny — to były paki, które spuszczono w czasie przypływu i które dostały się w ten sposób do kanału Boudigaut pod samym nosem urzędników celnych.

Pozostawiwszy prawnikom dociekanie, czy kontrabanda jest zbrodnią lub nie, wsiedliśmy co prędzej do powozu. Dzień, który spędziliśmy następnie, był jednym z najweselszych w mojem życiu.



Święci Cyryl i Metody, patroni całej Słowiańszczyzny, głoszą słowo Boże ludom pogańskim.

Św. Cyryl, krzewiciel wiary Chrystusowej u Słowian, ur. 827 w Salonice z rodziców zamożnych pochodzenia greckiego, otrzymał na chrzcie imię: Konstanty. Po pilnej i starannej w szkołach nauce poświęcił się stanowi duchownemu, w którym otrzymał imię: Cyryl. Żarliwym będąc Wiary św. wyznawcą, zaczął opowiadać słowo Boże ludom słowiańskim. Na wezwanie książąt morawskich udał się z bratem Metodym do Wehleradu, stołecznego miasta Morawii. Obaj, już przedtem, ułożyli na wzór liter greckich abecadło dla języków słowiańskich, czyli tak zwaną cyrylicę, z której rozwinęło się wiele pism słowiańskich n. p. ruskie i serbskie. Św. Cyryl przełożył Ewangelię świętą na język, który dzisiaj nazywamy cerkiewno-słowiańskim. Za pozwoleniem bowiem Ojca św. odprawiali Cyryl i Metody nabożeństwo w języku słowiańskim. W r. 867 udali się obaj do Rzymu, dokąd zawieźli znalezione przez nich nad morzem Czarnem resztki kości czyli relikwie św Klemensa W Rzymie Cyryl umarł w r. 869. Papież Leon XIII ogłosił świętych Cyryla i Metodego patronami całej Słowiańszczyzny. Pamięć ich obchodzi kościół św. 9 marca.

Kminkowa z rumem.

(Humoreska.)

Przykra i to bardzo przykra historya stała się niedawno w Brzuchowicach... Opowiem ją państwu, ale zastrzegam się z góry, że pod wyrażeniem „Brzuchowice“ nie kryją się żadne inne znaczenia, jak n. p. wódka pod „wódecznością“, kawa pod „kawecznością“, piwo pod „piwonią“ lub t. p... Nie! wcale nie!...

Brzuchowice, w których się ta bolesna odegrała awantura, to nie owa cierpieniom podlegająca część ludzkiego ciała — ale słynne miejsce klimatyczne, wilgotne, pełne pięknych widoków na kartach korespondencyjnych z Zakopanego, woniejące od róż... jerychońskich, o lesie obfitym w mnóstwo odpadków podwieczorkowych, skórek pomarańczowych i pogniecionych papierów — słowem raj publiczności polskiej, spragnionej piękna przyrody i „świeżego“ powietrza...

Otóż było to tak, że mała pani radczyni, która nie rada zostawała długo bez męża, żeby ze zbytniej swobody nie popełnił czego nierozsądnego a nie kwadrującego z wiernością małżeńską — postanowiła zamiast do Krynicy, dokąd ją wysyłał lekarz, pojechać na lato do Brzuchowic.

Tam też przyjeżdżał i pan radca codziennie, że się tak wyrażę—prosto z biura na obiad, bo pani zabrała ze sobą wszystkie potrzebne naczynia i kucharkę Wiktusię, zacnych przymiotów osobę, od trzech miesięcy w służbie zostającą, wierną, przyzwoitą, a przedewszystkiem mocno brzydką i nie szczerzącą zębów do pana jak inne młodsze...

Ze wsi to była ta Wiktusia; a jak



Murzynka afrykańska.

Afryka, trzecia część świata na południe od Europy poza Morzem Śródziemnem położona, jest trzy razy większa od Europy, ale dwa razy mniej zaludniona. Lud, zamieszkujący Afrykę t. j. Murzyni o czarnej barwie skóry, jest bardzo dziki i niedołężny, to też wybrzeża Afryki zajęły państwa europejskie: Anglia, Francya, Niemcy i Włochy, by hodować tam palmę oliwną, kawę, kakao, tytoń i korzenie, by polować na słonie, dla cennej kości, wydobywać z gór złoto i drogie kamienie.

poczciwe miała serce, mogą państwo mieć pojęcie z tego, że choć dwadzieścia lat już służyła w mieście, zawsze tęskniła za miejscem rodzinnem, za wioską ukochaną, za kościołem — cierpiała, jak to nazywają, na wieczną, nieuleczalną nostalgię!...

Choroba ta objawiała się czasami tak silnie, że biedna istota robiła wrażenie otumanionej, nieprzytomnej prawie... Przechodziło to jednak zawsze po przespanej nocy — a pani radczyni, która ze wszystkiem na swojej Wiktusi polegać mogła, nie patrzyła do kuchni wcale, całemi dniami oddychała świeżem powietrzem w ogródku, bądź to kołysząc się rozkosznie na huśtającym fotelu, bądź w błogiej kontemplacyi leżąc na hamaku między drzewami rozwieszonym.

Bo ze sąsiedztwem przestawała pani radczyni bardzo niewiele, a szczególnie od czasu, gdy do Brzuchowic zjechała i prawie wszędzie ze swoją wyniosłą kręciła się miną jej serdeczna nieprzyjaciółka profesorowa...

Profesorowa... Mój Boże!... Wielka ryba — ale dla pedlowej może... Radczyni sądowej — wcale ten tytuł nie imponował!... Wolała jednak nie spotykać się z tą nadętą ropuchą i siedzieć sobie spokojnie w domu.

Zauważyła tylko, że obok sztachet przechodzące osoby z pewną ciekawością zatrzymywały się chwilami, obserwując panią radczynię na jej hamaku... Dawały się przytem słyszeć jakieś dziwne uwagi półgłosem niby, wypowiadane, niby do niej a niby nie wiedzieć do kogo adresowane, dość jednakże głośne, ażeby je słyszeć mogła...

— Patrzcie! — mówili jedni — taka jeszcze młoda osoba!

— Ktoby przypuścił? — szeptali inni.

— Ha! namiętność! — dodawali niektórzy.

— Strach, co to będzie na starość!...

I tak dalej w koło ze znaczącem kiwaniem głowami i jakiemś niby współczuciem w głosie...

Trwało to prawie dwa tygodnie — gdy pewnego razu pani radczyni, zszedłszy po coś do piwnicy znalazła w kątku półlitrową flaszkę pełną jakiegoś płynu.

Ciekawością zdjęta kobiecą — w swoim domu zresztą mając do tego zupełne prawo — zapragnęła się przekonać o zawartości tej podejrzanej butelczyny i — odkorkowała ją wąchając.

Hm!... Ocet nie jest, oliwa tem mniej... Nafta też nie, bo przecież byłoby czuć i zresztą do nafty jest blaszana bańka...

Spirytus do palenia?... I to nie. Żelazka do włosów nikt nie używa, bo pan radca łysy, a pani wkłada gotową fryzurę z loczkami... Cóż to może być za licho?

Wiktusia właśnie poszła po coś na miasto — woła zatem pani małżonka, który nosem znawcy powąchawszy, dwa pełne łyki spuścił do gardła, a mlaskając językiem zawyrokował:

— Sznaps!...

W umyśle pani radczyni rozjaśniło się jak błyskawicą!... Postawiła flaszkę na dawne miejsce — a gdy wieczorem wróciła Wiktusia i tęskniąc za rodzinnem gniazdem, gwałtownego znów dostała ataku nostalgii — pokazało się, że flaszkę ktoś wypróżnił do kropelki!...

Na drugi dzień kucharka zapłacona za miesiąc naprzód odjechała na nieograniczony urlop — może do wsi rodzinnej — a na jej miejsce przywiozła pani radczyni z miasta inną, nie tak może brzydką i starą, ale bez przypadłości tęsknoty.

Nieznającą miejscowości zaprowadziła pani radczyni do jatek, poczem pokazała jej sklep korzenny, skąd brało się wszystkie potrzebne towary i wiktuały. Zdradziecką flaszkę wzięto również po gruntownem odpłukaniu ze sobą, żeby w nią kupić mniej zbrodniczego płynu — mianowicie octu.

Kupiec, który już naważył cukru, kawy i czegoś tam jeszcze, skoro tylko dostał do ręki oną buteleczkę, mrugnął znacząco na panią radczynię i zapytał półgłosem:

— Pani dobrodziejka rozkaże z tej samej sorty co zawsze!?

— Jakto ze sorty? — zdziwiła się pani.

Kupiec rozejrzawszy się po sklepie, w którym było parę osób, a między niemi i profesorowa — rzekł znowu znacząco:

— Ja myślę, proszę pani dobrodziejki, to samo, co brała zawsze tamta kucharka.

— Nie rozumiem pana, doprawdy! Co takiego?

Kupiec nachylił się aż do ucha radczyni.

— Kminkową z rumem! Czy tak?

— Ja?... Co pan plecie! Ja... kminkową z rumem?... Octu chciałam!

— Przepraszam — bąkał skonfundowany kupiec — myślałem... bo przecież pani dobrodziejka przez dwa tygodnie codzień posyłała po kminkową z rumem.

— Ja?...

Radczyni oniemiała ze złości.

— Świadkiem pani profesorowa—ciągnął kupiec dalej — która raz była tak łaskawą zaczekać na swoje towary, bo kucharka zaręczała, że pani dobrodziejka z utęsknieniem i niecierpliwością oczekuje...

Profesorowa ze spiczastym a grzecz-

nym uśmiechem pospieszyła z potwierdzeniem:

— Och... to tylko uprzejmość sąsiedzka... Zresztą i chrześcijański obowiązek nakazuje nie przeszkadzać bliźniemu w tak miłem zajęciu!...

Pół omdlała wytrzęsła się nieszczęśliwa radzczyni ze sklepu — na drugi dzień zaś z wszystkiemi larami i piernatami wróciła do stolicy...

Przysięgła sobie przytem, że odtąd, choćby radca nie wiem jak miał hulać ze słomianego korzystając wdowieństwa — pani radczyni jeździć będzie tylko do... Francesbadu!...

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 11-go września 1621 bitwa pod Chocimem. — 1683 Jan Sobieski przechodzi wzgórza łyse pod Wiedniem. — August II. ustępuje Leszczyńskiemu korony. — 1792 zjazd Targowiczan w Brześciu litewskiem. — 1831 bitwa pod Janowem i Wolą solecką.

Dnia 12-go września 1635 zawarto 26 letni rozejm z Szwecyą w Sztumdorfie. — 1637 zaślubiny Władysława IV. z Cecylią Renatą. — 1683 obrona Wiednia przez Jana Sobieskiego. — 1733 Stanisław Leszczyński powtórnie królem obrany. — 1831 bitwy w Zduńskiej Woli i Łasku. — 1834 akt emigracyi przeciw działaniom Czartoryskiego.

Dnia 13-go września 1637 koronacya Cecylii Renaty. — 1683 uroczysty wjazd Jana Sobieskiego do Wiednia. — 1773 zatwierdzenie pierwszego rozbioru Polski. — 1793 rozwiązanie konfederacyi targowickiej. — 1831 utarczka pod Markuszowem.

Dnia 14-go września 1485 hołd Multan i Wołoszczyzny. — 1792 poselstwo Targowiczan do carycy. — 1812 Polacy w Moskwie. — 1831 bitwa pod Drzywcami.

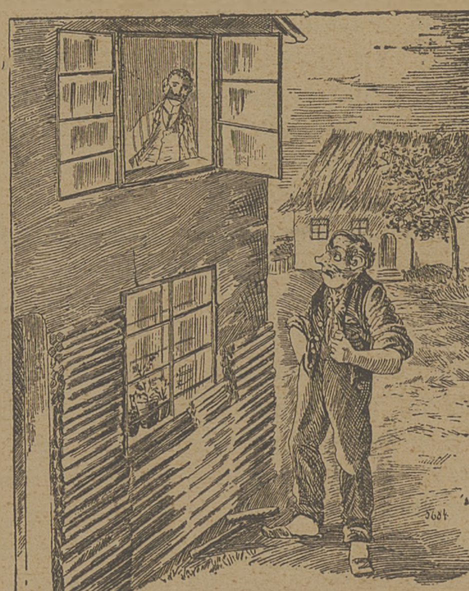
Dnia 15-go września 1015 królewicz Mieczysław z wojskiem przebywa Elbę. — 1339 legaci ogłaszają wyrok na Krzyżaków. — 1559 list przyjacielski Jana II. króla węgierskiego do Mik. Radziwiłła. — 1621 bitwa pod Chocimem. — 1683 spotkanie się Leopolda z Janem Sobieskim. — 1764 Stanisław Poniatowski zaprzysięga pacta conventa. — 1831 bitwa pod Opolem.

Dnia 16-go września 1577 porażka Gdańszczan pod Elblągiem. — 1592 sejm inkwizycyjny. — 1620 Żółkiewski przybywa pod Cecorę. — 1658 traktat hadziacki z Kozakami. — 1668 abdykacya Jana Kaźmierza. — 1825 śmierć Franciszka Karpińskiego. — 1831 Bitwa pod Kosinem. — 1831 Romaryno uprowadza wojsko do Galicyi.

Dnia 17-go września 1374 rozszerzenie przywilejów szlacheckich. — 1600 pobicie Moskali pod Cudnowem. — 1794 bitwa pod Krupczycami.

Humor i satyra.

Dobry wynalazek.



Do Milówki przyjechało kilku panów na świeże powietrze.

Pacura rano zobaczył jednego w oknie, który miał wąsy przyciśnięte taśmą szeroką.

„Do stu piorunów,“ — rzecze do siebie, „a to pyszny wynalazek. Kupię go zaraz mojej żonie i przywiążę na usta, aby nie gderała od świtu do zmroku.“

* * *

Z facecyj autentycznych.

Napoleon oblegając Sewillę rzekł do gubernatora miasta; „Jeżeli się do trzech dni nie poddacie, każę wszystko zgolić po zdobyciu szturmem.“ — Nie uczynisz tego N. Panie! odrzekł Hiszpan, bo do tytułów cesarza Francuzów, króla Włochów i t. d. nie będziesz chciał dodać tytułu „Cyrulika Sewilskiego.“

* * *

Wolterowi w Ferney naprzykrzali się często Anglicy, którzy go chcieli widzieć. Raz przybył Anglik i prosi o posłuchanie. Wolter kazał mu odpowiedzieć, że jest chory. — „Chcę zobaczyć chorego,“ rzecze uparty John Bull. — Wolter kazał mu powiedzieć, że umarł. — „Chcę zobaczyć umarłego,“ rzecze Anglik dalej. — Wreszcie rozgniewany szyderca woła: „Powiedźcie mu, że mnie dyabeł porwał.“

* * *

Przed Aleksandra W. przyprowadzono złapanego rozbójnika morskiego. Król ostro go łaje i wyrzuca niegodziwość zbójeckiego zajęcia. — A rozbójnik śmiało: Królu! że mam tylko jeden okręt, zwą mnie piratą, (rozbójnikiem morskim), ciebie zaś, że masz całą flotę i wojsko, zwą królem i bohaterem, a obaj jednakowo rozbijamy.

* * *

NASZ KĄCIK.

Sandomierz.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

W kościele św. Jakóba spoczywają zwłoki błogosławionej Adelajdy, córki Kazimierza Sprawiedliwego, która kościół ten fundowała. — Bardzo głębokim, spadzistym i cudnym wąwozem, zwanym imieniem Królowej Jadwigi, gdyż tą drogą udawała się do kościoła, schodzi się ku kościołowi św. Pawła. W murach jego tkwi kilka na pamiątkę tu pozostawionych kul armatnich — austryackich z roku 1809, gdy ztąd garstce naszych, pod dowództwem podpułkownika Białkowskiego udało się wypłoszyć nieprzyjaciela. — A oto znowu nieco dalej kościół św. Józefa z klasztorem, w którym mieszkali księża Reformaci. — Po zniesieniu klasztorów rząd zabrał tenże na cerkiew prawosławną, a biskup przeznaczył kościół na kaplicę pogrzebową. Jest tu kilka pomników, między innymi Izabelli Morsztynówny, dziewiętnastoletniej panienki, zmarłej w r. 1698. — Zwłoki jej leżą w trumnie, nie zakopane w ziemi, a ciało dotąd nie zepsute. Z życiorysów wiadomo, że Izabella była wzorowo cnotliwą, więc lud czci ją jak świętą. — Znów schodząc z jednego wzgórza widzimy na przeciwnem ogromny gmach. To kościół św. Michała z dawnym klasztorem Benedyktynek, które zajmowały się wychowywaniem dziewcząt. Od kilku lat mieści się tu seminaryum duchowne i muzeum. Nagromadzonych tu jest dużo ciekawych zabytków i pamiątek, jako to dawne zbroje, ubiory, meble, różne sprzęty, makaty, pasy, urny, księgi i t. d. — Wyszedłszy z owego gmachu i wydostawszy się z prastarego ogrodu okolonego wysokim, dawne czasy pamiętającym murem, stajemy na szosie, która prowadzi ku Zawichostowi. Cudna to droga, pełno co raz to nowych widoków i niespodzianek. Widzimy tu podnóże gór, nazwanych „Pieprzówki,“ zapewne z powodu czarnej barwy ziemi, osypują się bowiem z gór ciemne lśniące i twarde łupki, czasem mieniące się pstro, czerwono i zielono. Góry te ciągną się na przestrzeni kilku wiorst i są poszarpane wyrwami i głębokiemi wąwozami. Znajdują się na nich przedhistoryczne cmentarzyska i nieraz wiosenna ulewa zmywszy ziemię obnaży dużo urn, z popiołami prapradziadów naszych, co jeszcze się bożkom kłaniali, bo nie znali Boga jedynego.

I cóż, drogie moje dzieci, czy nie znudził was ten opis? Spodziewam się, że nie, bo przecież prawdziwe opowiadanie, więcej powinno zająć wasz młody umysł i serce niż wymyślone powiastki.

A teraz po raz ostatni ślę wam serdeczne ztąd pozdrowienie, wkrótce już powrócę do Poznania i ucieszę się, gdy zastanę dużo liścików od moich małych przyjaciół, bo sądzę, że nie jedno z dzieci opisze mi swoje wakacye, prawda?

Paula Wężyk.

Lato.

Rumieńczykiem się już płoni
Śliczne jabłko na jabłoni,
A tam, na wierzchołku drzewa
Słodka śliwka już dojrzewa.
Nadstawić tylko fartuszka,
Zaraz jabłko, śliwka, gruszka,
Lub doskonałe orzechy
Spadną dla mojej pociechy.
Tu znów kwiatów tyle nami
Swoją wonią i wdziękami,
Tyle skarbów Pan wszechświata
Nam rozdaje podczas lata...
Aż mnie buzia wstydem pali,
Gdy pomyślę, że my, mali,
Ach, nie pomni nie raz na to,
Kto nam dał to cudne lato,
Nie dziękujem Bogu za nie...
Nie raz sama jem śniadanie,
Co też Bóg mi dał w ofierze,
Aż wtem wspomnę: „A pacierze
Odmówiłaś porą ranną,
Co — niebaczna moja panno?“
I od wstydu aż rumiana
Padam zaraz na kolana.
Ale, — czy to na mnie samej
Takie grzechu ciężą plamy?
Ej, powiedzcie moi mali,
Czyście zawsze pamiętali,
By myśl zaraz po zbudzeniu
Wznieść ku Bogu w dziękczynieniu?
I czy wszędzie w wieczór, rano,
Grzecznie pacierz odmawiano,
W każdej chatce, w każdym domu?
Ja nie zdradzę was nikomu,
Ale proszę, proszę szczerze:
Odmawiajcie swe pacierze!

P. W.

ZAGADKA.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. Stanisław Rychlicki z Krotoszyna.

1	.	.	.	.	.	.
.	2	.	.	.	.	.
.	.	3	.	.	.	.
.	.	.	4	.	.	.
.	.	.	.	5	.	.
.	.	.	.	.	6	.
.	.	.	.	.	.	7

Zamiast liczb i kropek wstawić litery tak, żeby czytane w miejsce liczb z góry na dół, oznaczyły rzekę w Ameryce Południowej.

Znaczenie wyrazów.

1. Nazwisko poety polskiego.
2. Syn bożka Apollina.
3. Rzeźbiarz lwowski, który żył w XVII w.
4. Filozof żydowski.
5. Stolica Portugalii.
6. Obchód starosłowiański.
7. Jeden z największych malarzy polskich.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 15-go września włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dobre i dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Rozwiązanie szarady zamieszczonej w numerze 35-ym:

TURKAWKA.

Dobre rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego termina t. j. do 1-go września włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Stary Janek z pod Góry Przemysława K. Wrzesiński, Michał Garstecki i Józef Kędziora.

Z PROWINCYI: pp. Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, Stanisław Rychlicki z Krotoszyna, M. Gogulska z Żerkowa, Trójka hultajska, Mopsik Koziełek, Kazinek i Właduchna, wszyscy z Kujaw, Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Stanisława Chmarowa z Wrześni, Zofia Obarska z Miłosławia, Stan. Jałoszyński z Babina pod Strzałkowem, Władysław Siejak z Biechowa, Anastazya Haase z Kicina, Pelagia Stanisławska z Szołdr pod Czempinem, K. Śmigielski z Chabska, Zofia Kowalska z Bagatelki pod Czekanowem.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Stanisława, Kazimierz i Gabryela Balcerscy oraz Marya, Sass, Eleonora i Wiktor Balcerscy z Wąbrzeźna, Józef Ziółkowski i Władysław Dąbrowski z Unisławia, Władysław Czyżewski z Jaźwisk następującym udatnym wierszykiem:

Otóż nowy numer „Pracy“,
Bóg dał znowu doczekany,
Zbłądził w moje cztery ściany,
Jako lirnik ten tułaczy...
Ja uprzejmie witam dziada,
Bom ciekawy opowieści,
On mi sprawy różnej treści,
Dziwnym rytmem opowiada,
Przyśpiewuje cudne pieśni,
Aż się czyści dusza z pleśni,
Osobliwy śpiewak z ludzi!
I zagadka myśl mą budzi,
Myślę sobie to i owo,
Dziadek tylko trząsał głową,
Aż krzyknąłem: łatwa sprawka,
Miły dziadku, toć „turkawka“.

Z PRUS WSCHODNICH: p. Stafan Janowski z Rodelshöfen pod Brunsbergą.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: pp. Ignacy Pudlik z Niem. Piekar, Wiktor Polak z Bobrku, Rozalia Piecha z Burowca, Berta Badura z Rożdzienia.

Z GALICYI: pp. Gizela Ochenduszko z Liska, Marya Zborowska z Andrychowa.

Z OBCZYZNY: pp. Michał Pilarek z Maryańskich Gór, Leon Mąkowski z Witten i Ignacy Matuszak z Altenessen.

Nagrodę otrzymali: pp. Pelagia Stanisławska z Szołdr, Władysław Dąbrowski z Unisławia i Ignacy Matuszak z Altenessen.

Stanisław Ostrowski.

Z cyklu „Śladami Legionów."

WERBUNEK.

W Dijon, we Francyi, w obrębie fortyfikacyi dwie gromadki jeńców austryackich były zatrudnione robotami ziemnemi, pod dozorem plutonu żołnierzy francuskich.

Obie grupy, pomimo spólnej doli oraz jednostajnego uniformu, świadczącego o tożsamości pułków, rozdzielała, zdawało się, głęboka nienawiść. Ilekroć się zdarzało, że który z jednej grupy ze swą taczką przechodził w pobliżu drugiej, niechybnie stawał się celem słów szyderczych i urągliwych.

— Ty pludrze, Austryaku, szwabska krwi! — wołali nań Mazurzy, od Krakowa i Sandomierza pobrani do cesarskich glitów — a przecieżeś zgiął raz w pałąk hardy swój grzbiet... taki synu!

Z drugiego obozu wraz przychodziła odpowiedź:

— Polnische Teufeln! Die Hunde! — wykrzykiwał rosły, czerwony jak ćwik, drągal, mający na wyszarzanym mundurze oznaki wyższego stopnia i potrząsał pięściami w kierunku przeciwników.

— Cóż to, herr Zugfuehrer, widzi ci się, że wciąż jeszcze przewodzisz w glicie? — odkrzyknął stary wiarus, z siwemi wąsami, jak miotły — skończyło się już twoje panowanie! Stul lepiej pysk i patrzaj własnej roboty!

— Dostaniecie się jeszcze w moje łapy, poczekajcie! — pienił się tamten.

— Niedoczekanie twoje! — z akcentem głębokiej nienawiści odciął wiarus.

— Silence! — uznał za stosowne wmieszać się sierżant dozorujący jeńców przy robocie — travailles, canailles!

Rydle i oskardy jęły pracowiciej uderzać w ziemię.

— Aż lżej człekowi na sercu — mówił do swoich wiarus — gdy się widzi, jak te niecnoty chodzą w jarzmie i pod bagnetem ryją w ziemi, kiejby krety... Przyszła i na nich zła godzina!

— Ziemia to też, Boże odpuść, że się jej żelazo nie ima! — zaklął drugi, łomocąc ostrzem szpadla w twardy, spoisty grunt. — I co też taka skała jałowa rodzić może?...

— Wolałbyś se zlekka szpadlem przebierać w naszych piachach nad Wisełką, albo i zgoła w pszennym sandomierskim gruncie, hę? — przedrwiwał stary przekornie.

— Hej... hej.....

Dokoła piersi podniosły się ciężkiem westchnieniem.

— Choćby raz ino jeszcze tak przed śmiercią spojrzeć człekowi na ojcowiznę... — ozwał się któryś — choćby pod próg ojcowej zagrody podejść na chwilę, kiej ten pies-włóczęga...

— Dobrzebyś utrafił, prosto w austryackie dyby! — wpół gniewnie przerwał stary.

— Choćby, kiej ten ptak przelotny, ziemię ojczystą obaczyć zdaleka... Lżej byłoby potem człekowi na obczyźnie umierać...

— Hej! nie obaczym już jej!... nie obaczym!....

Ten i ów wsparł się oburącz na rękojeści rydla, szare, przyćmione mgłą źrenice pobiegły w dal, jakby upatrując w owej niewiadomej dali złotą wizyę ojczystą...

Hen, hen, za temi sinemi górami, mgli się Polska... pod niebem błękitnem stoją kłosy w złotem polu... wierzby nad ruczajem... chaty pod lipami, ciche dymy, idące ku niebu na odwieczerz... w progu matka, żona, siostry...

Mgli się to wszystko oczom, sercu, pamięci!...

Z tej i owej piersi, zahartowanej w trudach, niemal bezwiednie zrywa się westchnienie, szloch... Straszna tęsknica poojczysta, jak ten drapieżny sęp, spadła nagle na serca, rwie się szponami i zakrwawia do samego rdzenia...

Ostry głos sierżanta płoszy wizyę, która się rozwiewa, jak tęcza.

Pochylają się ramiona.

Zaciśnij, człecze, zęby, ból w pierś wbij, zegnij grzbiet i ostrzem żelaza uderzaj wciąż w twardą, obcą ziemię, skoroś więzień i tułacz bezdomny...

W oku starego wiarusa łza się zakręciła... Strząsnął ją palcem nieznacznie i, chcąc odwrócić myśl, dobył lulki. Nabił ją tytoniem, palcem przycisnął i do sierżanta podszedł poprosić o ogień.

— Pozwól, obywatelu, krzynkę wytchnąć staremu — łamaną francuszczyzną przemówił. — Wolałbym od świtu do nocy maszerować z bronią na ramieniu, niż tłuc tę skałę jedną godzinę. Nie żołnierska to rzecz.

Sierżant, człowiek wspaniałego wzrostu i tuszy, wspaniałomyślnie ognia udzielił.

— Niedługo pewnie już pracy tej — przemówił łaskawie — zamieniać będą waszych jeńców na naszych, to i wrócicie do swego pułku.

Stary splunął energicznie.

— Co, miałbym wracać nazad do glitu? A niedoczekanie ich!... Tamto gorsza niewola... Żaden z naszych z dobrowoli nie wróci!

— Cóż tedy z sobą wszyscy poczniecie?

Wiarus milczał czas jakiś, pykając z fajki.

— Ot tak do waszych szeregów toby człowiek przystał z ochotą — odezwał się wreszcie. — Tyle się nasłuchało o was: Francuzi zuchy, Francuzi bohaterzy, Francuzi naród, nadewszystko miłujący wolność i honor... Sami zresztą widzieliśmy męstwo waszych żołnierzy, chociażby w ostatniej batalii, w której nas zabraliście do niewoli...

Sierżant uśmiechnął się łaskawie w swej wielmożności.

— Tęgo przetrzepali nasi Austryaków, nieprawdaż?... Ale do nas przystać nie możecie. Nasza konstytucya zabrania cudzoziemcom służby w szeregach.

Stary wiarus stropił się bardzo.

— Zabrania konstytucya, powiadasz, obywatelu? Ha, kiedy tak, to niema rady! Konstytucya rzecz święta. Mieliśmy i my swoją pewnie niegorszą od waszej, za którą biliśmy się, póki śmy nie ulegli przemocy... W obronie tej to konstytucyi człek niejedną ranę otrzymał a i szewrony zdobył, jakie i wy nosicie, obywatelu-sierżancie.

— Więc miałeś stopień wojskowy? I jakże do tego przyszło, żeś zeszedł na szeregowca austryackiego?

Wiarus kilkakroć zapykał z fajki i zamyślił się przez chwilę.

— Hej, długie to dzieje, ale skoro masz ochotę, to ci je pokrótce opowiem, obywatelu. Byłem w brygadzie małopolskiej jenerała Wodzickiego i staliśmy wówczas pod Krakowem, nic nie przeczuwając, a już się gotował drugi podział kraju. Naraz gruchnęła wieść, jakoby chcą nas rozbrajać. Ciężkie to były czasy: w Warszawie byli Moskale, w Wielkopolsce Prusaki, pod Bochnią zaś stało piętnaście tysięcy Austryaków, gotowych rzucić się na nas w każdej chwili. Gdybyśmy byli w kupie, siłaby jeszcze była; ale nas

z umysłu trzymano w różnych stronach, dywizye były dyzlokowane po całym kraju... W tak ciężkich terminach przybywa naraz do Krakowa wicebrygadyer Dąbrowski, z dywizyi wielkopolskiej i schodzi się z naszym jenerałem. Z tych tam tajemnych narad wypadło, że trzeba natychmiast połączyć obie dywizye i, pokierowawszy marsz na Śląsk, Morawy, Bawaryę i Szwabię, ku Renowi się przerznąć do Francyi, oddać się pod protekcyę waszej Rzeczypospolitej i prosić o pomoc...

— Na honor! Bylibyśmy jej wam nie odmówili i potłukli waszych nieprzyjaciół — z godnością potwierdził sierżant.

— Otóż to... Cóż, kiedy nie dopuszczono do tego. Jenerał Byczewski, dowódca dywizyi wielkopolskiej, starzec niedołężny, sam zdecydować się nie mógł i doniósł o wszystkiem jenerałowi Ożarowskiemu, który był wówczas zastępcą nieobecnego hetmana, jak po waszemu powiedzieć: generał en chef. Ożarowski, targowiczanin i przysięgły nieprzyjaciel konstytucyi, wydał natychmiast rozkazy, krzyżujące wszystkie plany patryotów. I tak wszystko spełzło na niczem...

Wiarus westchnął głęboko i pociągnął z lulki.

— W waszym narodzie, powiadają, nigdy zgody nie było — przemówił sentencyonalnie sierżant.

— Staliśmy tedy, rozdzieleni i otoczeni zewsząd przez korpusy nieprzyjacielskie, do końca roku. Dopiero nierychło udało się zebrać całemu wojsku pod Połańcem, pod naczelnikiem Kościuszką. Wybuchła wówczas owa wielka insurekcya, którąśmy wiedli przeciw trzem potęgom, w początku nie bez korzyści. Byłem podówczas już kapralem i zaraz pod Szczekocinami otrzymałem dwie rany, przyczem kula przeszła mi durch przez ramię. Zaraz też otrzymałem szewrony sierżanta. Lecz w końcu musieliśmy uledz przemocy. Po nieszczęśliwej bitwie pod Maciejowicami, gdzie naczelnik został raniony i dostał się do niewoli, przepadło już wszystko. Wszyscy potracili głowy, bez ratunku ginęła Ojczyzna... Myśmy się dostali w łapy Austryakom, którzy pakowali nas gwałtem do swych glitów. Odtąd, ile człek się nacierpiał poniewierki, w przymusowej służbie u nieprzyjaciela, tego do końca żywota nie zliczyć...

Stary wiarus splunął sierdziście, postawił marsa i na pocieszenie zaciągnął się lulką. Sierżant chciał coś odpowiedzieć, gdy nagle ruch powstał na dziedzińcu. Zabrzęczały pałasze i ukazał się komendant twierdzy w otoczeniu kilku oficerów.

Powstał ogólny popłoch. Żołnierze francuscy sprezentowali broń, sierżant, w dowód gorliwości, rzucił na jeńców, opieszale wykonywujących robotę, grad przekleństw, zaczem sam wyciągnął się jak struna.

Komendant zbliżył się ku pracującym.

— Les prisoniers polonais — en avant! — zawołał krótko.

Jeńcy polscy w tej chwili porzucili rydle, taczki, oskardy i wyciągnęli się w długim ordynku. Wówczas z grupy oficerów, towarzyszących komendantowi, wyszedł naprzód człowiek w średnim wieku, w uniformie wojskowym, i zbliżywszy się do szeregu, naraz przemówił po polsku:

— Witajcie, bracia rodacy! Pozdrawiam was w imieniu Ojczyzny.

Na tak niespodziewany dźwięk mowy ojczystej zatłukły się serca w piersi wiarusów. Nagłe wzruszenie zdławiło gardła.

Tymczasem oficer mówił dalej:

— Jestem major Eliasz Tremo, adjutant jenerała Henryka Dąbrowskiego, i przybywam z Medyolanu w jego imieniu. Jenerał, za zgodą Rzeczypospolitej francuskiej oraz w porozumieniu z jenerałem Bonapartem, powziął plan uformowania legionów polskich na ziemi włoskiej, któreby przewodniczyły ludowi lombardzkiemu w obronie jego uciśnionej wolności. Legionistom będzie zachowany dawny mundur polski, również znaki wojskowe, język i prawa te same, co w wojsku narodowem. Jenerał Dąbrowski żywi nadzieję, że legiony te staną się szkółką dla przyszłej armii polskiej, któraby mogła, przy przyjaznych okolicznościach, kiedyś powrócić do Ojczyzny i podjąć walkę o niepodległość.

Oni słuchali, chłonąc w siebie tę wieść radosną, niemal niewiarogodną. Oczy, wlepione w mówiącego, rozjaśniały się blaskiem coraz gorętszym, na twarzach, znędzniałych od trudów i niedoli, wybłyskiwała z wewnątrz jakby łuna uniesienia.

— Jestem umocowany od jenerała Dąbrowskiego zbierać wszędzie rodaków! — mówił major Tremo — gdziekolwiek się znajdują, jako jeńcy lub dezerterzy z armii austryackiej. Czy pośród was, bracia, są ochotnicy, którzyby pragnęli wstąpić do tworzących się szeregów narodowych? — zapytał, przebiegając wzrokiem po mieniących się twarzach słuchaczów.

— Wszyscy chcemy! wszyscy! — buchnął jeden okrzyk ze stu piersi i naraz szereg prysnął.

Eliasz Tremo został okrążony zewsząd i rozpoczął czytać następującą odezwę jenerała Dąbrowskiego:

„Dąbrowski, jenerał-porucznik polski, upoważniony do formowania legionów polskich we Włoszech —

do swych współrodaków!

Wierny Ojczyźnie aż do ostatniej chwili, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona wprawdzie, lecz zostaje nam pocieszająca pamięć, żeśmy wylewali krew naszą za kraj naszych przodków i żeśmy widzieli nasze sztandary, tryumfujące pod Dubienką, Racławicami, Warszawą i Wilnem.

Polacy! nadzieja nas jednoczy. Francya tryumfuje; walczy ona za sprawę narodów. Starajmyż się osłabiać jej nieprzyjaciela; zapewnia nam ona schronienie — oczekujmy lepszych przeznaczeń dla naszego kraju; stawajmy pod jej chorągwiami, są one chorągwiami honoru i zwycięstw.

Legiony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze prac waszych i waszej waleczności, są ze mną; już organizują się bataliony. Przychodźcie, towarzysze moi! rzućcie broń, którą was nosić zmuszono. Walczmy za wspólną sprawę narodów, za sprawę wolności pod walecznym Bonapartem, zwycięzcą Włoch. Trofea rzeczypospolitej francuskiej są naszą jedyną nadzieją; przez nią tylko i jej sprzymierzonych odzyskamy te drogie ogniska nasze, któreśmy opuścili ze łzami“.

Odczytawszy te słowa, major Tremo zwrócił się jeszcze do słuchaczów:

— Lud lombardzki od siebie wzywa was, abyście pośpieszyli do walki przeciw wspólnym jego i waszym nieprzyjaciołom, zapewniając, że znajdziecie u niego, jako bracia, wspólną ojczyznę, aż do czasu, kiedy nastręczy się wam możność powrotu do ziemi ojczystej.

Jednomyślny okrzyk zapału był odpowiedzią.

* *

W jakiś czas potem kolumna, licząca około stu ludzi, jeszcze bez broni i w resztkach austryackiego uniformu, raźnym marszem posuwała się do Dijonu.

Mimo braku całkowitego moderunku, oddział ten miał wygląd prawdziwie wojskowy: dziarskie, po żołniersku wyprostowane postawy, marsowe miny, czerstwe, ogorzałe twarze, pełne zapału.

Miała to być pierwsza kompania pierwszej legii.

Koniec.

CZARNA PERŁA.

7) *Powieść na tle wschodniem.*

(Dokończenie)

Kapitan wsunął się cicho po za fałdzistą zasłonę do sypialni, Nazela została, czekając przelękniona przy krętych schodach. Długa, głucha cisza panowała w około, Nazela liczyła w przestrachu minuty, nagle rozległ się stłumiony okrzyk w sypialni Defterdara, potem głośniejszy ton, na który wszystka krew ścięła się w żyłach młodej kobiety!... kapitan został odkryty!

Ryk straszliwy zagrzmiał w powietrzu, a przed omdlewającemi oczyma czekającej kobiety, przemknęła się postać krwią oblana, i jakiś przedmiot upadł przed nią na ziemię, schyliła się po niego, były to zapieczętowane papiery. Drzwi od tarasu zatrząsnęły się, i owa krwawa postać zniknęła. W kilka ihwil potem słychać było regularne uderzania wiosła po falach Nilu, niknące w oddaleniu.

W tej chwili zagrzmiał głos Mohamed-Bey'a.

— Huże Szeitan, chwytaj!

Tygrys poskoczył ku drzwiom wychodzącym na taras, ale były zaryglowane, dzięki przytomności umysłu Nazeli, która w tej chwili leżała już rozebrana na swem posłaniu.

— Czy to był sen? — mruknął Defterdar porywając się ze snu. — Zdawało mi się, że ktoś schylał się tu nad moją głową. Czułem czyjś oddech na mem czole. Ha, Szeitanie, czy tu był kto?

Tygrys otworzył swą straszliwą paszczę i wydał przeciągłe płaczliwe wycie.

— Więc to nie sen? — krzyknął Mohamed-Bey porywając się dziko z posłania, i drżącą ręką sięgnął pod jedwabną poduszkę.

Straszliwa klątwa wydarła się z ust jego, papierów nie było pod poduszką.

Gontran zaś, lubo raniony łapą Szeitana, był już w bezpiecznem miejscu. Na sercu miał list Nazeli, a w sercu jej niezrównanie piękny obraz.

X.

W jednej z najodleglejszych części starego miasta Kalifów, znajduje się tak nazwane jezioro słoni, jest to samotna, pusta okolica, gdzie się pasą bawoły i przebywają całe sfory psów zdziczałych. Wszystko tchnie tu tajemniczością i skrytemi występkami, od ponurych ciemno-czerwonych gmachów z gęsto okratowanemi balkonami, aż do zwężających się na tarasach ogródków, zarośniętych dzikiem winem, zamkniętych tajemnemi furtkami, i poprzerzynanych cienistemi ścieżkami.

Z południowej strony tego obszernego placu, widzimy szczątki wspaniałego niegdyś pałacu Mameluków, a po jego ruinach przesuwają się duchy wśród ciemnych nocy. Inaczej działo się tu wówczas, gdy jeszcze naczelnik Mameluków Szakin-Bey, w tych przemieszkiwał murach. Potem przyszło nieszczęście na starodawną dynastyę Deklidów, wspaniałość zniknęła, i dzisiaj spustoszałe komnaty książęce, stały się okrzyczaną siedzibą złych duchów!

Wstępujemy do tego domu pokutujących duchów w błogosławiony wieczór piątkowy. W wielkiej sali haremowej, o wspaniałem sklepieniu w kształcie melona, pokutuje nie żartem.

Głęboka ciemność panuje w tych miejscach, tylko ciche szepty zdradzają obecność licznego zgromadzenia. Ktoby mógł widzieć w ciemności ten zobaczyłby najpierw potężną zasłonę, która całą salę do połowy przedzielała. W miejscu środkowem, gdzie się ta tajemnicza zasłona rozsuwa, siedziało na ziemi dwóch całkiem obnażonych ludzi, tylko czoła ich, szyja i biodra są owinięte wężami, które od czasu do czasu wydają złowrogie syczenie.

Źrenice tych wężów błyszczą jak rozżarzone węgle w ciemności. Aż do samej zasłony siedzi mnóstwo widzów, którzy zdają się oczekiwać niecierpliwie na jakieś widowisko. Pomiędzy nimi można rozróżnić wielu wojskowych z rozmaitych pułków i stopni, i wiele osób znakomitych. Niektórzy rozmawiają po cichu dla skrócenia czasu; podsłuchajmy taką rozmowę.

— Czemu ta stara tak długo czekać nam daje? — szepnął ktoś niecierpliwie, w którym poznajemy inżyniera Menine, do stojącego obok siebie.

— Duch poszedł do meczetu Huseina na nabożeństwo wieczorne — odpowiedział zapytany, którym jest policyant.

— Jaki duch?

— Duch Szakin-Bey'a, którego dziś Farkebaro ma wywołać.

— Do kata! — zaśmiał się renegat — ten stary Mameluk ucieszy się, zobaczywszy takie liczne zgromadzenie.

— Nie śmiej się przyjacielu — mruknął aga policyjny. — Czarownica z Damankur jest straszliwą kobietą.

— Czy ten duch Szakin-Bey'a przemówi? — zapytał Menine z odcieniem ironii w głosie.

— Farkebaro zmusi go, — odpowiedział poważnie drugi — ona posiada potrzebną do tego władzę. Niedawno wywołała ducha Szeika-Ali, i ten przemówił.

— I co powiedział? — zapytał niedowierzająco inżynier.

— Dziwne rzeczy, że wielkie zdarzenia nastąpią w Egipcie, i że... — tu stłumił głos i nachylił się do ucha Menine'a — że godzina baszy wybiła.

— Do dyabła! — rzekł Francuz, — dobrze, że basza przebywa w Aleksandryi, bo gdyby to doszło do jego uszu, toby pewno kazał wygarbować skórę czarownicy.

—Mechmet-Ali nieodważyłby się ruszyć Farkebaro — odpowiedział policyant z zapałem — bo w tej chwili mogłoby nam to sklepienie spaść na głowy.

— Tak sądzicie, Osman-Bey'u? — zaśmiał się Menine.

— Wszyscy jesteśmy przekonani o tem — odpowiedział policyant — ale otóż zasłona podnosi się, duch Szakin-Bey'a powrócił już zapewne z nabożeństwa.

Rzeczywiście, tajemnicza zasłona rozsunęła się w tej chwili, i ponury głos zdający się wychodzić z głębi ziemi zawołał:

— Szakin-Bey'u przychódź, wzywam cię, wzywam cię, wzywam cię!

Ogólna cisza. W tej chwili człowiek w czarnym płaszczu z włosia wielbłądziego, z zasuniętym na twarz kapiszonem, stanął po cichu w pierwszym rzędzie widzów.

Nagle szmer przestrachu powstał pomiędzy całem zgromadzeniem, po za zasłoną ukazały się niebieskawe płomyki, które przesuwały się skacząc po ziemi, podobnie jak błędne ogniki na błotach. Był to duch Szakin-Bey'a. Znowu odezwał się głos podziemny.

— Czy możesz mówić, duchu?

Nie było odpowiedzi.

— Czy mam cię zmusić do posłuszeństwa? — zapytał głos surowo.

Znowu milczenie.

— Podaj rękę duchu buntowniczy! — rozkazał głos gniewnie.

Teraz rozległ się grzmot, że aż się wstrząsły stare mury pałacu Mameluków; po wszystkich kątach sali syczało jakby tysiące wężów i świecąca ręka ukazała się na podłodze pomiędzy błędnemi ognikami.

Stłumione okrzyki przerażenia przebiegały pomiędzy widzami.

— Teraz ostatnie czary! — odezwał się znowu grobowy głos, i czarna żmija upadła z brzękiem obok świecącej ręki.

— Wężu ukaż się, wężu zwijaj się, wężu rozciągaj się! — rozkazywała czarownica, i o cudo! Żmija obwinęła się szybko około świecącej ręki i zarazem usłyszano bolesne jęczenie.

— A! — krzyknął teraz głos tryumfująco, — dajesz się poznać, uginasz się pod przemocą Farkebary, uporczywy duchu! Czy odpowiesz wreszcie?

— Pytaj! — zabrzmiało teraz z przeciwległej strony sali; ogniki i ręka płomienista zniknęły, a z po za zasłony ukazała się tak blada ręka, że aż zimno przechodziło po ciele widzów.

Głos grobowy zapytał:

— Czy spotkałeś ducha Szeik-Ali?

— Co dopiero opuściłem go przy studni rozeznania! — odpowiedział głos przytłumiony.

— Co mówił Szeik-Ali?

— Mówił, że Szakin-Bey ma się cieszyć.

— Z czego?

— Bo jego śmierć zostanie pomszczoną.

Szakin-Bey był, jak wiadomo, pierwszym dowódzcą Mameluków, którego kule Arnautów w złowrogi dzień pierwszego marca zabiły.

— Czy ci przeznaczono, ażebyś powracał w te miejsca aż do dnia odpłaty? — zapytał głos.

— Tak, — odpowiedział głos ducha z głębokiem westchnieniem.

— Czy wkrótce zostaniesz wyzwolony?

— Wkrótce.

— A kiedy?

Duch odpowiedział po chwili milczenia:

— Gdy nadejdzie godzina dla mordercy naszego.

— Czy ta godzina jest bliska?

— Zbliża się.

— A kto będzie twoim mścicielem, duchu nieszczęśliwy?

— Ten co będzie władał Egiptem.

— Kto to jest?

— Ten, który córkę mordercy poślubił.

— Kogo przez to rozumiesz, duchu wszystkowiedzący.

— Mohamed-Bey, Defterdar, — odpowiedział duch z gwałtownym okrzykiem przerażenia, bo w tej chwili silna dłoń schwyciła świecącą rękę i piorunujący głos krzyknął:

— Światła!

Przy drzwiach zajaśniały latarnie na wysokich tyczkach oświetlając całą salę. Człowiek w czarnym płaszczu beduińskim odrzucił kapiszon. Wszyscy schylili czoła. Mohamed-Ali stał przed przestraszonem zgromadzeniem.

Jeszcze jego żelazna prawica trzymała mniemanego ducha, który wydawał bolesne jęki. Teraz wywlókł go basza z za zasłony i młoda kobieta z twarzą kabalistycznemi znakami jaskrawo pomalowaną czerwoną chustką okryta rzuciła się do nóg potężnego baszy.

— Łaski panie, miłosierdzia nademną biedną kobietą! — jęczała w śmiertelnym strachu.

Mohamed-Ali spojrzał błyszczącemi oczyma w około, nikt nieśmiał podnieść gowy.

— Patrzcie! — rzekł wicekról gromkim głosem, — jak łatwowierni jesteście. Pierwsza lepsza kuglarka, która się zna na brzuchomówstwie potrafiła was skłonić do uwierzenia w duchy. Czy podobno, ażebyście byli tak nieświadomi i takiemu oszustwu uwodzić się dali? Patrzcie, ta ręka ducha jest posmarowana fosforem i dla tego tak błyszczała.

Nikt nieśmiał ruszyć się z miejsca, a tem mniej robić jakie eksperymenta. Niektórzy szemrali po cichu, a wyrazy bluźnierca, niedowiarek, dochodziły do uszu wicekróla.

— Kto szemrze! — zawołał piorunującym głosem. — Szukajcie mi teraz oszusta, co płomyki poruszał! Dziesięć cekinów złotych dostanie, kto go przyprowadzi!

Spieszno podniósł się jeden z tych, co byli opasani wężami, a teraz cichutko przyczaił się przy ziemi, i zniknął za zasłoną. Wkrótce przywlókł starca z długą, siwą brodą do stóp baszy.

— Przyznaj się! — rozkazał Mechmed-Ali z groźną miną.

Starzec, ojciec Farkebary wyznał na klęczkach, że on to ukryty pod podłogą poruszał świeczki i przynęcił ręką, także fosforem posmarowaną żmiję, którą jego córka wrzuciła za zasłonę.

Tak objaśniło się to całe widowisko. Mechmet-Ali wydał wyrok:

Starzec i ludzie z wężami odbiorą chłostę, poczem ten, który wydał starego, dostanie dziesięć cekinów. Kobietę niechaj zaszyją w miech i wrzucą na dno Nilu.

Przerażeni tym grzesznym wyrokiem, żołnierze cofnęli się. Żaden nieważył się dotknąć ręki czarownicy, która z wyciem i jękiem czołgała się u nóg wicekróla.

— Dosyć! — zawołał tenże. — Precz z tą kobietą! Czegoż się lękacie, — dodał obracając się do żołnierzy. — Jeżeli ma moc nad duchami, to znajdzie się zapewnie jaki, który ją wydobędzie z wody, a jeżeli jest bezczelną oszustką, to na nic innego nie zasłużyła.

Uznano słuszność tego zdania i wyprowadzono Farkebarę. W godzinę później już czarownica utonęła w głębinach Nilu i żaden duch nie pospieszył na jej ocalenie. Tak zakończyła sławna czarownica z Damankur, która przez długi czas znaczną w Kairze odgrywała rolę.

* * *

W godzinę po tem zajściu, siedzieli w jedneej z komnat starego pałacu Mameluków, przy gasnącej lampie Nazela i jej ojciec.

— Masz słuszność, moje dziecię, — mówił basza pochmurno, — Mohamed-Bey, twój mąż staje się niebezpiecznym.

— Czy pamiętasz moje przestrogi, ojcze, — odpowiedziała Nazela, — i abyś nie wątpił, spojrzyj na te papiery.

Basza schwycił ciekawie podane sobie pisma, które Gontran z niebezpieczeństwem życia wyjął z pod poduszki Defterdara.

— Zkąd masz te papiery? — zapytał basza płonącemi oczyma, przejrzawszy je.

— Znalazłam je pod poduszką Defterdara, — odpowiedziała córka.

Dwie głębokie bruzdy ukazały się na czole baszy i gwałtownie począł targać się za brodę.

— Co tu robić? — rzekł. — Ten zdrajca ma potężnych wspólników trzeba być ostrożnym.

— Ty ojcze głaskaj łapę tygrysa, a ja ją utnę, — odpowiedziała młoda kobieta ponurym głosem.

— Nazelo, moje dziecko, — zawołał basza, ściskając gwałtownie rączkę córki. — Ja ciebie poświęciłem, przebacz mi!

— A moja zemsta? — zawołała młoda kobieta z oczyma błyszczącemi złowrogo, — patrz ten płomień, to obraz Mohamed-Bey'a....

Wtem płomień zgasł i ciemna noc otoczyła ojca i córkę.

XI.

Nazajutrz potem znajdujemy Defterdara samotnie w swych komnatach siedzącego. Nikt nie waży się zbliżyć do niego, oprócz małego Berberczyka i Szeitana.

W ponurem dumaniu, rozmyśla o zniknionych papierach, bo tu chodzi o jego głowę, jeżeli się one w ręce wicekróla dostaną; to przypuszczenie przejmuje go dziką wściekłością. A gdyby go wczoraj był kto spostrzegł ukrytego za zasłoną w sali na widowisku duchów? zimno przejmuje na tę myśl żelazne jego serce. Ale dla czegoż czarownica miała odwagę proklamować go publicznie jako mściciela Szakin-Bey'a? tak się przecież z nią nie umówił. Co za szatan natchnął ją tą myślą?

Mohamed-Bey nie domyślił się, że demoniczny ten pomysł pochodził od Nazeli, która następującą propozycyą zrobiła czarownicy, gdy ją synowie Hany przynieśli w miechu do haremu. Obiecała, że ją żadna kara nie spotka i odbierze nagrody sto cekinów, jeżeli zdradzi Defterdara publicznie; w razie oporu miała być w tej chwili pogrążona w falach Nilu. Farkebaro wolała się zastósować do woli księżnej, a ta ułożyła na prędce rozmowę duchów, którą czarownica z dziwnym talentem brzuchomówstwa wykonała. Nieszczęściem czarownica nie zyskała nic na tem, bo co jej Nazela przyobiecała, niewiedział basza, i tak Farkebaro padła ofiarą tego złośliwego pomysłu narzeczonej tygrysa.

— Jak teraz wydobyć się z tych sideł? — przemyśliwał Defterdar, targając rozognioną ręką kędzierzawe włosy Nura, u stóp jego siedzącego, któremu zadaniem było rozdmuchywać płomyk w paradnej lulce swego władzcy. Dziś było to zaiste niełatwo, bo ponuro zadumany Bey, rzadko wyciągał dym z cybucha, płomień ciągle więc gasnął.

Obok chłopca, skulony w kłąb ogromny, spał Szeitan snem sprawiedliwego i nasyconego.

Ponura cisza. Niebieskawa chmurka wonnych wyziewów unosi się w powietrzu. Przez różnobarwne szyby wązkiego okna saraceńskiego, pada płomień zachodzącego słońca na żelazne oblicze marzącego władzcy, tak, że się ono wydaje jakby skamieniałe, wielki chrząszcz kąpie z brzękiem swe zielone skrzydła w krwawym promieniu słonecznym, a Nur ziewa rozespany, ale nie wolno mu zasnąć w obecności pana.

Znudzony śmiertelnie Berberczyk przypatruje się smacznie śpiącemu tygrysowi, przyjemny sen rozpieszczonego zwierza wzbudza zazdrość chłopca, któremu zasnąć nie wolno. Teraz spoziera ukradkiem na pana. Defterdar pochylił głowę, koniec bursztynowy długiego cybucha wysunął mu się z ust i Bey zdawał się drzemać. Berberczyk szybko schwycił za ogon śpiącego Szeitana i szczypnął go silnie. Potężny zwierz mrugnął oczyma i przyciągnął do siebie ogon. Nur powtórzył ten swój złośliwy napad. Teraz zadrżały mięsiste powieki zwierza i złoto-żółta skóra na jego czole ściągnęła się w groźne fałdy.

Berberczyk szczypnął go trzeci raz.

Szeitan zawarczał, roztworzył ziewając swą potężną paszczę i obróciwszy się na drugi bok zasnął znowu. Ale Nur nie poprzestał mu się sprzeciwiać. Po chwili wyjął ostrożnie rozżarzony węgiel z stojącej obok kadzielnicy i przysunął go pod nos nieznośnemu śpiochowi, szczypiąc go przytem w ogon.

Szeitan odsuwając się nagle przytknął paszczę do rozżarzonego węgla, z wyciem bolesnem skoczył do góry, oczy jego zabłysnęły groźnie i z straszliwym rykiem rzucił się na chłopca. Okrzyk rozległ się po komnacie.

— Precz Szeitan! — zagrzmiał głos Defterdara nagle zbudzonego. Gniewliwy ryk tygrysa, który trzymał pod swą potężną łapą głowę Berberczyka, jedyną był na to odpowiedzią:

— Precz Szeitan! — powtórzył Defterdar sięgając po pistolet wiszący na ścianie.

Wtem Szeitan zwrócił się groźnie na pana. Defterdar podniósł rękę. Rozwścieklone zwierzę przyczaiło się, gotowe do skoku, bijąc gniewliwie ogonem w ziemię i przyciskając uszy do czaszki. Już, już miał skoczyć na swego pana, kiedy strzał z pistoletu rozległ się w powietrzu i Szeitan upadł nie żywy, w samo serce kulą ugodzony. Przez chwilę stał Mohamed-Bey struchlały, niewysłowioną przejęty zgrozą. Tu leżał we krwi jego ulubieniec, a tam tak samo Nur. Łapa rozwścieklonego zwierza zgniotła głowę chłopca jak łupinę.

Śliczny chłopiec Berberski skonał wśród jęków. Nieborak przypłacił życiem swoje żarty.

W tej chwili Mohamed-Bey przypomniał sobie słowa wróżki Atanicho: „Umrzesz po tem, gdy zabijesz twego tygrysa,“ i demoniczny ten człowiek schylił głowę, i gorąca łza spłynęła po jego ponurem obliczu.

Wtem portyera z brokalu rozsunęła się z cicha, i niewolnik ukazał się za nią.

— Co chcesz? — krzyknął Defterdar groźnie.

Niewolnik oddał mu w milczeniu zapięczętowany papier.

— Od baszy, — mruknął Mohamed-Bey, rozrywając woskową pieczęć.

Było to uprzejme zaproszenie baszy, swego zięcia, aby przybył na poufną rozmowę do pałacu Izmaela w Butaku.

— Czyżby to była zasadzka? — pomyślał Defterdar. — Co Ałłach chce, stanie się, a czego niechce, niestanie się, — mruknął, jako fatalista, i kazał spieszno okulbaczyć ulubionego, czarnego ogiera.

Nie była to wcale zasadzka, bo Mechmet-Ali, obsypywał męża swej córki licznemi zapewnieniami o swem ojcowskiem przywiązaniu i polecał mu ponownie pieczę nad stolicą i szczęście ukochanej swej córki.

O widowisku w pałacu Szekin-Bey'a, wspomniał tylko wice-król, aby zapewnić swego zięcia, że takie kuglarskie sztuczki niezdołałyby ani na chwilę zachwiać zaufania, które on od dawna w nim pokłada.

W kilka godzin potem, basza odjechał znów do swego nadmorskiego pałacu.

Gdy Mohamed-Bey powrócił do domu, było mu jakby jedna z piramid egipskich tłocząca go, nagle odjętą była. Czuł się zupełnie uspokojonym.

W ten sam wieczór otrzymał Defterdar od swej małżonki zaproszenie na bal haremowy. Przyjął je radośnie, gdyż czuł się tak zadowolony, jak gdyby miał obchodzić swe zmartwychwstanie. W loży, złotemi sztachetami otoczonej na miękkich, jedwabnych poduszkach spoczywali, tygrys z Dongola i jego małżonka.

Ona była ubrana w białą, jedwabną gazę, a na jej czole jaśniały czarne brylanty i takież perły okrywały jej

szyję i ramiona, na szpince u przepaski zrobiony był skorpion z korali. Przepyszny pierścień ametystowy błyszczał na palcu prawej jej ręki. Taka loża haremowa podobna jest do groty kwiecistej, którą cudowny pająk osnuł złotą pajęczyną!

Lecz Defterdar nie troszczy się o to, co się dzieje na sali, on nie słyszy i nie widzi nic jak swą śliczną żonę, który piękność nigdy jeszcze niezdawała mu się tak nęcącą jak dzisiaj. Nawet ponura złość, która pozbawiła wzroku rywala, zdawała się znikać z jego serca, teraz tylko gwałtowna namiętność pożądliwej miłości całkowicie nim owładnęła.

Wtem zadźwięczały struny harfy, biegłą wzruszane ręką, i pieśń monotonna i smutna popłynęła na skrzydłach tonów do loży. Miłosne jej wyrazy tak rozczulają Defterdara, że ściskając rączkę pięknej żony, mówi wzruszony:

— Jaka cudowna ta pieśń, mój aniele!

— Znajdujesz te słowa pięknemi? — rzekła z uśmiechem Nazela.

— Najpiękniejszemi jakie kiedy słyszałem, — szepnął Mohamed-Bey.

— Ta pochwała czyni zaszczyt tej, co je utworzyła.

Defterdar spojrzał pytająco na żonę.

— Są one moim pomysłem, — rzekła spuszczając oczy.

— Cudowna istoto! — zawołał Defterdar z zachwytem.

* * *

Dzwonki tamburina zabrzęczały i Darabuka zaszumiała, bose podeszwy uderzają w ziemię, kastaniety takt wybijają. Powstał szelest, szmer, zgiełk, a Defterdar otumaniony gwarliwą muzyką, przyciska rozpalone usta do łabędziej szyji ślicznej swej żony. Nazela usunęła się jak gdyby ten pocałunek piętno hańby wyrył na jej szyji, i spojrzała w rozognione oczy swego straszliwego małżonka, którego nareszcie potęga jej wdzięków oczarowała.

— Nazelo, — szepnął Defterdar, — o jakie pali mnie pragnienie.

— Czy chcesz szklankę sorbetu fiołkowego, mój mężu i panie? — zapytała słodko Nazela.

— Może, — odpowiedział Mohamed-Bey, — ja pragnę miłości, ale i sorbet z twojej ręki będzie dla mnie napojem niebiańskim.

— To dobrze — rzekła księżna — w tych dniach kupiłam niewolnicę, która jest niezrównaną w przyrządzaniu sorbetów. Daruję ci tę dziewczynę, ale ona ma wadę.

— Wadę? — powtórzył Defterdar.

— O tem później — zawołała Nazela — teraz przedewszystkiem spróbuj jej fiołkowego sorbetu.

To mówiąc klasnęła w dłonie. Hana stanęła przed lożą.

— Niech Leila przyniesie szklankę sorbetu — rozkazała księżna.

W chwilę potem ukazała się wysoka kobieta, zasłoniona welonem z przykrytą szklanką w ręku. Nazela wstała, zbliżyła się do niej i odebrała ją z rąk niewolnicy.

Trzymając szklankę w lewej ręce, odkryła pokrywkę prawą i odsuwając palcem ametyst w pierścieniu, wpuściła w szklankę czarną perełkę. A potem piękna kobieta klęknąwszy podała napój Bey'owi.

Defterdar przyłożył szklankę do ust, patrząc miłośnie w zielonawe oczy swej żony i wychylił ją od razu, a oddając naczynie, pocałował żonę w schylone czoło, było ono zimne jak z kamienia. Nazela podniosła się, na jej marmurowem obliczu nie było widać najmniejszego wzruszenia.

Na sali tańczyły czarne dziewczęta, kastaniety trzaskały, coraz to szumniej roztaczał się wir tańca; w tem okrzyk przeraźliwy rozległ się z loży haremowej. A taniec coraz w dzikszych objawiał się skokach i susach.

Ryk jakby zranionego zwierza rozległ się znowu, Defterdar w niewysłowionych boleściach wije się i czołga po ziemi, płomieniste oczy zdają się występować mu z głowy.

— Jak szczur w łapce, — wyjęknął z straszliwym, kurczowym śmiechem, — zatruty! — i machając w powietrzu rękoma, powalił się nieżywy na posadzkę.

Wśród jego jęków konania, odzywa się głos:

— Ona ma tylko jedną wadę, jest ślepą.

I Nazela szybkim ruchem zdziera zasłonę i maskę kobiecie co sorbet przyniosła, i pokazuje konającemu Bey'owi twarz oślepionego Monferanda. Ten rzuca jeszcze spojrzenie śmiertelnej nienawiści na nich oboje i zamyka oczy na wieki.

Przestano tańczyć na sali. Narzeczona tygrysa wzięła za rękę młodego lekarza i zaprowadziła go do pobocznej komnaty.

Tutaj siedziała zawelonowana kobieta. Nazela rzekła do swego ukochanego:

— Ta piękna dziewica, w której serce Ałłach złożył wszystkie swe skarby uczuć najszlachetniejszych, kocha cię, mój luby.

Monferand wydał okrzyk podziwienia. Tamara, bo ona to była, siedziała nieruchoma, przyciskając ręką gwałtownie bijące serce.

— A tobie dziewczyno, — mówiła dalej córka Mechmet-Ali z rozrzewnieniem, patrząc na zawelonowaną córkę Abu-Nura, — Ałłach, którego niepojęte są wyroki, ciężką naznaczył próbę. Zdejm twoją zasłonę biedne dziecię, człowiek, któregoś ukochała nie może oglądać twych wdzięków, bo jest ślepy.

Tamara z okrzykiem najżywszej boleści rzuciła się w objęcia Nazeli.

— Czy go nie przestaniesz kochać? — szepnęła księżna.

— Będę podporą jego życia, — zawołała Tamara spoglądając miłośnie na ślepego doktora, który stał przed nią z spuszczoną głową.

— Czy słyszysz doktorze? — zawołała Nazela, — czy nie odrzucasz tej miłości?

— Leila, — szepnął Monferand, zakrywając oczy rękoma.

— Leila nie żyje, — szepnęła narzeczona tygrysa. — Miłość Leili, nieszczęsny, sprowadziła na ciebie wieczną noc, niechaj ci miłość Tamary będzie światłem w twej ciemności.

Ślepy młodzieniec rozszerzył ramiona i Tamara rzuciła się w jego objęcia.

W oczach narzeczonej tygrysa zabłysła łza i z spuszczoną głową rzekła z westchnieniem:

— Przyjm tę ofiarę jako zadosyćuczyninie, o wszechmocny Boże.

* * *

Doktór Monferand na rozkaz baszy Mechmet-Alego został uwolniony z Moristanu. W kilka tygodni później opuścił z Tamarą miasto Kalifów i zamieszkał we Francyi. Abu-Nur umarł. Przed odjazdem Tamara znalazła go pewnego poranku z zagasłym cybuchem haszyszu w ustach, nieżywym. Gontran-Brea podług obietnicy Nazeli awansował na jenerała i wysłany został z wojskiem na granicę Asnaru. Czyż to było wygnaniem? Czy Nazela lękała się szatana pokusy?

Kilka lat jeszcze żyła narzeczona tygrysa, potem zmarła tajemną śmiercią.

KONIEC.